

Zeszyt czternasty. Rocznik szósty.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIĄG DALSZY)

Kiedy Olga swego wymarzonego, prawdziwie kobiecego szczęścia używała, chciała także Adelaida użyć swego szczęścia, które sobie wyrozumowała.

Jedynym środkiem tego szczęścia było dzisiaj dla niej bogactwo.

Hrabia Wojciech był człowiekiem niezmiernie bogatym. Do bogactwa łączył także wychowanie niepospolite i charakter prawy. Zajmowały go zawsze idealniejsze objawy życia i całej jego powierzchowności nadały piętno człowieka, wyróżniającego się ponad poziom codziennych ludzi. Do ujemnych strón należało, że był ułomny, schorowany i jak na męża dla Adelaidy, mocno za stary.

Zkąd tak rozsądnemu człowiekowi, jakim był pan Wojciech, przyszło na myśl ożenić się z Adelaidą, trudno zaiste odgadnąć. Tu gubi się wszelkie rozumowanie.

Przyjaciele jego tłumaczyli to w ten sposób, że chciał upadający konar dawnego rodu podtrzymać swojem poświęceniem się, licząc na jakieś choćby najmniejsze wynagrodzenie.

Było to śmieszne tłumaczenie, chociaż w ten sposób mniej więcej tłumaczy się podobne związki małżeńskie.

Czyżby nie była prościejsza droga poświęcenia, wesprzeć po prostu upadających lub potrzebujących pieniądzmi?

Mimo to, bądź co bądź, pan Wojciech poświęcił się i za swoje poświęcenie wziął sobie cudownie piękną Adelaidę.

Być może, że Adelaida także to poczytała sobie za poświęcenie, a nawet miała prawo do tego. Ze stanowiska jednak jej zasad, poświęcenie to nie było tak bolesne, bo wynagradzało ją tem, czego pragnęła, a bez czego w swojej sferze żyć nie mogła — bogactwem.

W takim razie można słusznie powiedzieć, że Adelaida d stąpiła szczęścia, którego szukała. Wprawdzie nie obyło się bez pewnej walki serca, ale był to stan anormalny, bo kobiecie jej sfery nie wolno słuchać serca, jeźli to serce jej interesa krzyżuje.

Szczęścia więc swego chciała użyć w pełni, użyć jak najwięcej, aż do szału, aż do zapomnienia o sobie, jak tego teraz gorąco pragnęła.

Pan Wojciech przykładem wszystkich starych mężów zgadzał się zupełnie z żoną swoją. Wiedząc, że kosztowne życie w takim razie jedynie kobietę uszczęśliwić może, wziął gruby pugilares do kieszeni i z młodą żoną wyjechał za granicę.

Korzystając jeszcze z dni jesiennych, dosyć pogodnych, zamierzyli zwiedzieć Wiedeń, Paryż i Londyn, a na zimę zatrzymać się dłużej w Dreźnie.

Podróż odbyła się z wielkim kosztem i komfortem.

Zrazu sprawiało to Adelaidzie wielką przyjemność.

Wychowana w zbytkach, potem ograniczona na życie

bardzo oszczędne, a nawet czasem dotknięta brakiem najpotrzebniejszych wygód, karmiła często swoje marzenia bardzo bogatą przyszłością. Marzyła o dostatkach i komforcie i przechodziła w wyobraźni swojej wszystkie roskosze takiego życia.

Dzisiaj te roskosze miała przed sobą. Była bogatą, mąż na nic nie szczędził, mogła rozkazywać, królować. Mogła dostatecznie wyróżnić się od ludzi pospolitych, o co najbardziej jej chodziło. Wszystkie jej arystokratyczne zasady zbiegały się w tym punkcie, aby być zawsze na wierzchu, w jakikolwiekbądź sposób.

Teraz miała środki do tego i mogła ich dowolnie używać. Używała więc w sposób wykwintny, wyrafinowany. Gdziekolwiek się pojawiła, posłała naprzód przed sobą jakiś blask uroczy, jakąś aureolę, która na nią zwracała uwagę wszystkich.

Czy to na dworcu kolei do wagonu weszła, czy przed hotelem z remizy wysiadała, czy przy obiedzie się okazała lub w teatrze lożę pierwszopiętrową zajęła — robiła to z tak dziwnym urokiem, że wszyscy na nią patrzeć musieli i jej piękność, bogactwo i szczęście podziwiać.

Robiła to wszystko po mistrzowsku, i była przytem w wysokim stopniu zadowoloną z siebie.

Trwało to czas niejaki. Wkrótce zaczęło się coś psuć w jej szczęściu. To wypychanie siebie zawsze naprzód, ta żądza ustawicznej adoracyi i pokłonów popsuła właśnie całe jej sztucznie wyrafinowane szczęście.

Gdyby nie była zwracała na siebie uwagi, gdyby o tę uwagę nie była walczyła wszystkiemi środkami, cały świat puściłby ją mimo siebie, o nicby jej nie zapytał, żadną nie ukłuł szpilką.

Adelaida jednak nie mogła chodzić w zacieniu, nie mogła żyć ani chwili, nie będąc przekonaną, że tysiące oczu patrzą na nią zazdroszcząc jej szczęścia.

Poza tem nie istniało dla niej szczęście, i nie warto nawet było ponosić tej ofiary, jaką poniosła.

Dopięła więc, czego chciała, co można było dopiąć bogactwem — świat ujrzał ją i patrzył na nią.

Ale właśnie to upragnione przez nią szczęście obróciło się teraz przeciw niej samej.

Gdyby mogła być sama tylko widziana, gdyby stary i ułomny mąż był niewidzialnym — możeby jakoś to uszło. A tak cały świat patrzał najprzód na nią, potem patrzał na ułomnego starca przy jej boku i pytał: Kto jest ten starzec wychudły? Czy to ojciec, czy stryj, czy może dziadek?

Trudno, aby ludzie długo byli w takiej niepewności. Zachowanie się starego człowieka zdradziło zaraz, że to nie ojciec, nie stryj, ale — mąż pięknej młodej kobiety!

Teraz dopiero dla wszystkich była ciekawą osobliwością. Bogactwem i komfortem zwróciła uwagę wszystkich, ale jako żona tego starego człowieka była powszechnem dziwowiskiem.

Odbijało się na twarzach patrzących, że z trudnością rozwiązywano zagadkę, co mogłoby tak młodą i tak uroczą kobietę zmusić do takiego nienaturalnego związku?

Różnych szukano powodów, a podczas tego patrzano na nią, patrzano z pewną wzgardą, z politowaniem!

Jedni uważali ją poprostu za towar kupiony, jaki zazwyczaj kupuje się na publicznych targowiskach. Mniemano, że stary sybaryta pod koniec życia nabył ten towar dla marnej rozrywki na rok lub dwa za pewne wynagrodzenie.

Inni trochę lepiej ją cenili. Widzieli w niej ślubną żonę, ale zaliczali ją do tych lekkomyślnych kobiet, które z ubogiej sfery dochodzą w ten sposób do bogactwa i lepszych wygód życia.

O poświęceniu się dla rodziców lub jakiej zasady nikt nie myślał, bo do tego nie było danych. Zresztą teorya poświęcenia się dla rodziców jest tak bezmyślną, że dzisiaj nikt w nią nie wierzy. Któryż bowiem ojciec lub matka za lepszy dla siebie kęs chleba może sprzedać życie, całe życie swego dziecka?

Adelaida doświadczała teraz zgubnych skutków swojej wmówionej w siebie teoryi, która zresztą nie była prawdziwym powodem jej postanowienia.

W hotelu służba witała ją z uśmiechem dwuznacznym; ona widziała w zwierciadłach, które przedsionek zdobiły, jak po za jej plecyma dawano sobie różne znaki rękami i oczami. Widziała przy obiedzie, jak goście patrzali na nią i na męża i uśmiechali się do siebie. W teatrze widziała, jak większa część publiczności zwracała na nią uwagę, ale w oczach patrzących nie było podziwienia bogactwa i komfortu, ale było inne bardzo jej nieprzyjaźne uczucie. W muzeach, galeryach, wszędzie spotykały ją te wyzywające spojrzenia, które mówiły: Kobieto, dla czego zaprzedałaś się?

Do tego jeszcze pan Wojciech znacznie się teraz postarzał. Czy to niewygody podróży, czy od młodości żony tak niekorzystnie odbijał, czy zresztą sam zaczął poznawać niestosowność swego kroku — dosyć, że wyglądał staro, bardzo staro, a nawet ułomność jego tak się powiększyła, że wyglądał zupełnie garbaty!

Dwa miesiące upłynęły, miesiące miodowe i cukrowe, a Adelaida wyniosła z tych dwóch miesięcy głęboką zmarszczkę na czole i smutny uśmiech wokoło swych ust blado-różowych.

Była syta takiego życia, zapragnęła trochę spokoju. A nawet potrzebne jej było takie cofnięcie się z widowni świata, bo na każdym kroku swoim znajdowała młodych ludzi, Lowelasów w swoim rodzaju, którzy szacując jej zasady według zamążpójścia, zbliżali się do niej w sposób wyzywający. Adelaida zaciskała usta ze złości, ale nie mogła robić skandalu i zamykała oczy na tak ubliżające zachowanie się swego otoczenia.

Miejscem wypoczynku miało być dla niej Drezno.

Pan Wojciech wziął piękne mieszkanie z balkonem nad Elbą w hotelu Bel-vue.

Tutaj było jej trochę lepiej. Cofnęła się do swoich saloników, jadała w pokoju u siebie. Czasami tylko jakiś ciekawy przechodzień rzucił okiem na piękną turystkę, siedzącą na balkonie w ciepłem jesiennem ubraniu.

Drezno było miejscem jej lat dziecięcych. Tu wychowała się, tu zaczęła po raz pierwszy marzyć, tu roiła sobie złotą przyszłość.

Gdzież to wszystko dzisiaj uleciało? Jej przyszłość, cel ostateczny marzeń, ostateczne nadzieje życia — mąż stary, schorowany, ułomny! Jakaż za to zapłata?... Śniadanie rano, obiad po południu i herbata wieczorem... i znowu śniadanie rano, obiad, a potem herbata i tak dalej aż do śmierci!

Obok niej mieszkała sędziwa kobieta, Amerykanka, która często na nią patrzała z wyrazem słodkim na twarzy.

Wreszcie raz na brylowskim tarasie zbliżyła się do niej i rozpoczęła rozmowę bardzo biegle po francuzku.

Adelaida uczuła dziwną sympatyą do sędziwej matrony. Amerykanka była kobietą wysoko wykształconą, była zamożną, wiele widziała w świecie. Adelaida przyjęła ofiarowaną przyjaźń, i obie kobiety zaczęły bywać u siebie.

Wkrótce dowiedziała się Adelaida, dla czego sędziwa Amerykanka szukała jej przyjaźni. Wnuczka Amerykanki, bawiąc się raz albumem babki, przyszła z niem do Adelaidy i z chichotem okazała jej rysunek.

Adelaida spojrzała na rysunek i zarumieniła się.

Rysunek wyobrażał ją i jej męża, i miał podpis lakoniczny: Para małżeńska w Europie.

Podobieństwo było wyborne. Adelaida świeża i urocza, a przy niej skulony pan Wojciech.

Adelaida udała, że portretów nie poznała.

Ujrzała to babunia, wystrofowała wnuczkę, a zbliżywszy się do Adelaidy, wzięła ją za rękę i rzekła;

— Nie gniewaj się pani, żeś była dla mnie i jesteś ciekawym przedmiotem. Wyobraźnia moja już od kilku tygodni jest nieustannie czynną, aby sobie stworzyć ciekawą sytuacyą życia, która taką, jak pani, kobietę mogła zmusić do tego niewłaściwego małżeństwa! Sprawisz mi pani wielką przyjemność, jeźli mi choć kilka szczegółów z twego życia udzielisz.

To prawdziwie amerykańskie zapytanie sprawiło na Adelaidzie przykre wrażenie. Uśmiechnęła się ironicznie.

— Czy to w Ameryce byłoby tak dziwnem? — zapytała.

— Nietylko dziwnem, moja pani, — z szczerością odpowiedziała Amerykanka, — ale wprost niemożliwem!

— Czy tak? — sucho ozwała się Adelaida.

— Tak, moja pani. U nas panny mają wielką wolność. Tańczą, bawią się, stroją jak nigdzie w Europie. Gdyby kto taką wystrojoną nimfę na wieczorku widział, która w ręku trzyma bukiet, mogący dla skromnej dziewczyny być posagiem, myślałby, że ona nie pójdzie za innego jak tylko za milionera! Tymczasem za parę tygodni dowiadujesz się z dzienników, że Anabella poszła za subjekta z handlu futrzanego, i zajęła na tyłach hotelu małe trzy pokoiki, gdzie z fartuszkiem białym przed sobą stoi przy małej kuchence, aby ogień do samowara rozdmuchać, bo za pół godziny przyjdzie mąż, młody przystojny brunet z szafirowemi oczami.

Adelaida lekko westchnęła.

— Anabelli — mówiła dalej Amerykanka, — nawetby na myśl nie przyszło, że mogłaby pójść inaczej zamąż, gdyby naprzykład chciała zarzucić arkan na bogatego bankiera o sześciu krzyżykach. Ani nawet taki stary Krezus nie pomyślałby o tem, aby jej ofiarować swoje stare lata i kasę ogniotrwałą! Sytuacya więc pani musi być nadzwyczaj wyjątkową, jeźli mogła tak cudownie piękną osobą...

— Pani jako Amerykanka nie zrozumiesz tego, choćbym ci powiedzieć chciała. U was nie ma różnic rodowych, dla tego nie możecie ocenić nas i nasze stanowisko!

Amerykanka dłuższy czas myślała nad tem wyjaśnieniem, ale nie mogła tego dobrze zrozumieć. Adelaida zaś zwróciła rozmowę na inny przedmiot, a silna zmarszczka na jej marmurowem czole nie pozwoliła Amerykance dłużej na nią nastawać.

Od tej rozmowy rzadko widywała Amerykankę, i więcej oddawala się samotności. W tej samotności przychodziły jej różne myśli do głowy. Myślała ciągle nad swojem położeniem, rozumowała nad sobą, chwytała się rozmaitych teoryj, ale w końcu uznała, że — nie jest szczęśliwą!

Mniejsza jeszcze, gdyby to nieszczęście tylko jej samej znane było. Ale duma jej bolała nad tem srodze, że to inni wiedzieli.

Nie ma przykrzejszego uczucia dla kobiety, jak chcieć wobec świata uchodzić za szczęśliwą, zadowoloną, a odbierać od niego dowody litości i ubolewania.

Adelaida chciała sobie gwałtem stworzyć szczęście, a przynajmniej takie pozory, żeby świat w jej szczęście uwierzył, i miał dla niej szacunek a nie litość.

Tego szacunku, którego każdy jej odmawiał, tej moralnej wagi, która tyle ma uroku, koniecznie pragnęła teraz Adelaida, za jakąbądź cenę. Było to dla niej koniecznie, nieodbicie potrzebnem.

Mój Boże, — myślała sobie, — jakbym to inaczej wyglądała obok Wojciecha, gdyby ta siwa głowa miała jakiś urok wyższy, jakiś wieniec lub laur zasługi publicznej! Gdyby był naprzykład artystą znakomitym, lub pisarzem głośnym, albo przynajmniej politykiem stojącym na czele stronnictwa parlamentowego?.... Wtedyby powiedziano:

Patrzcie! to sławny człowiek, a to jego żona! Mianoby szacunek dla takiej kobiety, która wyższość pokochać umiała — a tak... mówią: dla pieniędzy!

Adelaida zwiesiła głowę i długo myślała. Na nieszczęście pan Wojciech nie mógł być ani artystą ani autorem ani nawet sławnym dziennikarzem!...

Coś jednak wymyśliła Adelaida, bo twarz jej rozjaśniła się, a usta różowe uśmiechnęły.

— Adalbert! — rzekła do niego pieściwie — wróćmy do kraju!

— Jak chcesz, moja Adelo, wyjedziemy jutro, — odpowiedział pan Wojciech, który naprawdę już bardzo tęsknił za krajem.

Rozdział XIX.

W kraju już gruby śnieg przykrył pola i łąki. Nikomu ani na myśl nie przyszło, że na tem prześcieradle grobowem złoży tegoroczna zima swój owoc krwawy dla pamięci wszystkich potomnych wieków!...

I dziwna to była zima. Wiatr mroźny sunął się po polach i po lasach, i roznosił wszędzie jakieś dziwne, tajemne wieści, które sobie od ucha do ucha dalej podawano. Z temi wieściami wciskał się szparami niedomkniętych okien do chat wieśniaczych, wsuwał się przez podwoje niestrzeżone do pałaców, sprawiając wszędzie ciszę grobową, zdumienie lub nadzieje.

A jednak nikt tego wiatru nie mógł ująć, nikt tych wieści nie mógł zebrać i zrozumiale wypowiedzieć, nikt nie umiał sobie zdać sprawy, co czuł przy tych wieściach, czy mróz czy gorąco?

Zwolna, powoli, coraz zrozumialej zaczął wiatr przemawiać, coraz głośniej odzywał się w chatach, dworach i pałacach.

W styczniu już wszyscy wiedzieli, że „coś będzie“. Tylko nikt nie wiedział — co!

Nie ma nic dla społeczeństwa tak niebezpiecznego, jak jakakolwiekbądź robota wewnątrz, śród ciemnoty i nocy.

Któż bowiem może tam poznać, kto przyjaciel a kto nieprzyjaciel? któż rozpozna w ciemności, czy mu podają rękę do uścisku, czy sztylet zabójczy?

Szeroko zaczęto już o tem mówić, że w kraju przygotowuje się ruch jakiś. Kiedy i w jakich granicach? nie wiedziano. Rząd dowiedział się, co mu zagraża, i w tych samych ciemnościach, w jakich ruch przygotowywano, zajął odporną pozycyą.

W każdym ruchu społeczeństwa są jedne i te same objawy. Sam ruch, prawem przyrodzonem, wychodzi zawsze od środka budowy społecznej. Dolne i wyższe warstwy nie uznają zrazu tego ruchu, a nawet wprost ciężarem swoim nieruchomem udaremniają go często.

Jest to zwykły proces każdego poruszenia. Inaczej być nie może. Każda rozwijająca się siła musi przebyć pewien opór z jednej i drugiej strony, bo tym tylko sposobem organizuje się i dojrzewa w siłę pewnej wagi. Siła działająca bez żadnych przeszkód, zużywa się sama w sobie i często może dojść tam, gdzie nie dążyła.

Takim samym prawom podlega społeczeństwo. Gdyby społeczeństwo bez oporu każdy ruch przyjmowało, musiałoby z biegiem czasu popaść w zupełną desorganizacyą, bo raz nie miałoby próby, czy ruch jest dobry i pożyteczny czy tylko gorączkowy, a powtóre trapione ustawicznym ruchem nie miałoby tego wypoczynku, który wszystkie siły organizuje.

Kiedy więc mieszkańcy Galicyi dowiedzieli się o gotującym się ruchu, natychmiast podzielono się w zastępy, z których jedne oświadczyły się za ruchem, drugie przeciw ruchowi.

Prawie w każdem społeczeństwie jedne i te same warstwy zajmują wobec każdego ruchu stanowisko oporne, czyli tak zwane konserwatywne. Już sama istota ich bytu zmusza je do tego.

Są to warstwy ostatecznych kończyn społeczeństwa lud osiadły na roli i właściciele większych majątków z tytułami lub bez tytułów.

Te dwie z natury swojej konserwatywne warstwy trzymają ruchliwy środek społeczeństwa, gdzie największa masa jego sił żywotnych się wyrabia, jakby w obręczach żelaznych.

Ruch przygotowany w Galicyi pamiętnego roku 1846 miał zatem tak, jak każdy inny ruch społeczny, przeciw sobie z jednej strony lud rolniczy, a z drugiej majętniejszą szlachtę kraju.

Te dwa konserwatywne z natury swojej żywioły potrzeba było dowódcom ruchu przyciągnąć na swoją stroną.

Najprzód starano się lud pozyskać. Była to sprawa bardzo trudna, a w dalszych widokach bardzo niebezpieczna. Środki, jakich do tego użyto, nie były pewne. Bez żadnych poprzednich przygotowań moralnych, bez owej mrówczej na długie lata obliczonej pracy, która warstwy społeczeństwa zbliża do siebie i w jeden zastęp jednoczy, chciano odrazu heroicznym środkiem poruszyć masy i pod sztandar zaciągnąć.

Podejrzliwy z natury swojej lud patrzał z niedowierzaniem na okazywaną mu perspektywę jego przyszłości, a mając świadomość przeszłości nie zbyt ponętnej, ociągał się z wiarą w tę przyszłość i zajął najniebezpieczniejsze dla każdego ruchu stanowisko — wyczekujące.

To wyczekiwanie wytłumaczono sobie korzystnie, bez uwagi na to, że właśnie w podobnej sytuacyi społeczeństwa największe pole do czynności swoich mają czarne jego duchy.

Roboty tych czarnych duchów, które jak potwory kryją się na dnie społeczeństwa, nikt nie widział, a nawet się jej nie domyślał.

Pozostała druga konserwatywna z natury warstwa społeczeństwa: majętniejsi właściciele dóbr z tytułami i bez tytułów.

Ludzie ci opierali się długo temu ruchowi, ale nie opierali się w imię zasady konserwatyzmu, bo takich zasad po większej części między nimi nie było.

Konserwatyzm europejski opiera się każdemu ruchowi fizycznemu i temu wszystkiemu, co podług jego teoryi do takiego ruchu prowadzi, ale za to wierzy w ruch interesów moralnych, rozważny ale nie ustający, i takiemu ruchowi wszystkiemi siłami służy.

Takiego konserwatywnego stronnictwa nie miała Galicya, bo ludzi opierających się z innych, częstokroć prywatnych pobudek ruchowi rewolucyjnemu nie można nazwać stronnictwem.

Było więc rzeczą bardzo naturalną, że ludzie ci, niezwiązani żadnym węzłem zasad jednolitych, zaczęli pod wrażeniem różnych widoków opuszczać gromadnie zajęte stanowisko i grupować się około ludzi ruchu, czyli jak wtedy nazywano: ludzi czynu.

Nie można wątpić, że wielu z nich miało pobudki bardzo szlachetne, że przystępując w ostatecznej chwili do ruchu, dali dowody bezwzględnego poświęcenia swoich zasad dla sprawy publicznej.

Takie jednak poświęcenia nie przynoszą społeczeństwu żadnych korzyści. Jest to tylko dowodem niemocy tych ludzi wobec kraju, dowodem, że nie poczuwając się do żadnych względem kraju obowiązków, nic nie robili i nic w swoich rękach nie mieli, czemby społeczeństwu mogli nadać kierunek.

Nie było to więc żadne poświęcenie zasad, ale poprostu abdykacya zdetronizowanych już de facto monarchów społeczeństwa.

Kilku z tych ludzi widziała Adelaida w Dreźnie.

— Co pan mówisz do wieści z kraju? — pytała jednego.

— Złe, bardzo złe, — odpowiedział zapytany, — zdaje się, że jakiś ruch będzie koniecznie.

— Co znaczy to słowo „koniecznie“?

— To znaczy, że go w żaden sposób powstrzymać nie można! Zanadto już rozszerzyło się.

— Czy był kto, co ten ruch chciał wstrzymywać?

— Jak pani możesz się o to pytać! Wszyscy chcieliśmy go wstrzymać.

— I nie mieliście panowie żadnego sposobu w ręku nato?

— Robiono wszystko bez nas!

Adelaida rozśmiała się. Rzekła po chwili:

— Otóż w tem leży cała tajemnica naszych ruchów, zacząwszy od różnych konfederacyj w Rzeczypospolitej, że ci, na których obowiązek ciąży przodowanie w społeczeństwie, chowają się po tyłach, aby tylko próżnować i nic nie robić! Gdyby każdy z panów poczuwał się do obowiązków dla społeczeństa, to byłby dla niego coś robił, a robiąc coś, byłby miał w ręku wodze, jakiemi zazwyczaj kieruje się społeczeństwo. A tak zostaliście na boku, a prąd poszedł mimo was!

Drugi raz obaczyła znowu kogoś i zapytała:

— Co pan sądzisz o mającym nastąpić ruchu?

— Co sądzę... cedził zwolna zapytany przez zęby — co sądzę... właściwie jeszcze sam nie wiem... bo tak różnie mówią o tem...

— Przecież pan powinieneś już wiedzieć: czy z ruchem, czy przeciw ruchowi?

— Ja właściwie jestem przeciw ruchowi, ale dotąd jeszcze nie oświadczyłem się. Czekam jak daleko ta rzecz zajdzie!

— A jeśli dalej zajdzie?

— Wtedy nie pozostaje nic innego, jak przyłączyć się do ruchu.

— Jak to? Mimo zasady i przekonania?

— Mais-que voules-vous? Jesteśmy między młotem i kowadłem. Pójdziemy z ruchem, a nuż ruch się nie uda, złapie nas rząd za czuprynę; oświadczymy się przeciw ruchowi, a ruch się uda — wlézą nam swoi na kark! Radźże tutaj pani!

Adelaida rozśmiała się i odwróciła od wielkiego galicyjskiego dyplomaty.

A byli nawet i tacy między tymi ludźmi, którzy każdego emisaryusza napoili i nakarmili, a potem swoją drogą panu Kreishauptmanowi niektórych rad ogólnych udzielali, aby ten ruch fatalny powstrzymać.

W takim stanie rzeczy postanowiła Adelaida zjechać z mężem do kraju i w przygotujących się wypadkach wziąć taki udział, jakiby za najlepszy uważała.

W kraju było już wtedy wielkie, chaotyczne zamieszanie. Zastęp konserwatystów był już prawie zupełnie rozbity. Wpłynęła na to najwięcej niepewność, co będzie. Byli ludzie, którzy rozprawiali o tak kolosalnych przygotowaniach do ruchu, o takich niezmiernych zasobach, które już nagromadzono, że domorodnemu konserwatyście biegały ciarki po ciele, gdy sobie pomyślał, że to wszystko przeciw niemu obrócić się może, jeśli z ruchem nie pójdzie.

Politycy wielkiego kroju z miną tajemniczą napomykali coś o mocarstwach, które ten ruch w swoim interesie wspierają i tylko czekają pierwszego hasła, aby wywiesić sztandar wojny!

Nic dziwnego, że pod takiem wrażeniem ludzie konserwatywni robili co mogli, aby się z tej i owej strony osłonić, bo do samej walki nie mieli ani zasad ani ochoty.

Pomagano sobie w ten sposób, że zajęto wobec ruchu stanowisko trochę dalsze, a plenipotentom swoim

i oficyalistom zostawiano rozkazy sprzyjające ruchowi. Tym sposobem powiększała się liczba adherentów ruchu i pociągała innych za sobą.

W tym to czasie przybyła Adelaida z mężem do kraju. Już w pierwszych początkach objęła bystrem okiem sytuacyą kraju.

Przekonała się, że ruch się odbędzie, że nic go powstrzymać nie zdoła.

Pomyślała nad tem, jakie w tem wszystkiem zająć miejsce, któreby jednak zawsze było w pierwszych rzędach.

Mówiła o tem z mężem kilka razy. Z jego mowy dowiedziała się, że i on po części już należy do liczby tych ludzi, którzy wprawdzie ruchu nie chcieli, ale nie mogąc go wstrzymać, uważaliby za swój obowiązek iść razem z ruchem.

Gdy o tem dowiedziała się Adelaida, postanowiła z tego usposobienia męża swego skorzystać i stworzyć sobie z niego człowieka, któryby choć przed światem wart był jej miłości.

Adelaida chciała na głowę męża włożyć wieniec zasługi obywatelskiej i otoczyć go aureolą wyższego człowieka. Wyróżniwszy go w ten sposób, chciała go podnieść do siebie, do swojej młodości, przy której jużby nie tak odbijał, jak dzisiaj. Mogłaby wtedy kochać w nim co innego, i tak sobie wyjątkowe szczęście swoje wyrozumować.

Do tego potrzeba jej było Edmunda.

Edmuud bowiem przez te kilka miesięcy wyrósł w swoim powiecie do pewnej powagi', jaką mu nadało stronnictwo ruchu. Ludzie, którzy dawniej posądzali go o plany ambicyjne, za jakiemi gonił zbankrutowany członek arystokracyi, zbliżali się teraz do niego i ściskali mu rękę. Pierwej mówiono powszechnie, (słusznie czy niesłusznie, mniejsza o to), że Edmund ze swoją zubożałą tarczą herbową dla tego wszedł w szeregi demokracyi, aby tam zostać prymasem albo przynajmniej biskupem. Dzisiaj jednak widziano już w nim biskupa i polecano się jego opiece.

Adelaida nie mogła go teraz ominąć. Jakkolwiek pomiędzy obecnością a niedawną przeszłością tyle czasu i rzeczy ubiegło, jednak myśl o Edmundzie przeszła jak iskra elektryczna jej serce.

Szybko jak iskry elektryczne przebiegły przez głowę dawne jej marzenia, w których Edmund miał rolę pierwszorzędną... marzenia te zabolały ją w tej chwili, i zamknęła przed niemi serce, aby ich tam nie puszczać. Były to już marzenia stracone. Były to marodery wojska, które bitwę przegrało!

Adelaida zacisnęła usta, aż zęby zgrzytnęły, i postanowiła dalej iść swoją drogą.

Zaprosiła kilku znakomitszych sąsiadów i napisała liścik krótki do Edmunda. (C. d. n.)

OBRAZEK MYŚLIWSKI.

(Z NATURY.)

(DOKOŃCZENIE).

Po tym wstępie Signor począł
Teoryą łowów rozwijać,
Długą rozprawę rozpoczął:
Jak strzelbę czyścić, nabijać,
Jak brać na cel w lot kulika,
Jak nurka celić na stawie,
W jakie miejsce trafić dzika,
Jak najlepiej iść obławie,
Kiedy zwłaszcza grunt bagnisty,
Lub nierówny i górzysty.
Ztąd powód arcyloiczny,
Epos ułożyć prześliczny
O Lasach Harcu i Litwy,
Gdzie legenda tyle mieści
Straszliwych, dziwnych powieści,
Gdzie północnemi gonitwy
Wieczny Strzelec ściga zwierza
I w zaklęty róg uderza;
Gdzie ongi grot Gedymina
Gromił jelenie i tury;
Olgierd, szczytny wzór Litwina,
Wileńskie rzuciwszy mury,
W nadniemeńskiej puszczy jary
Ze swojemi biegł ogary,
I pięścią niedzwiedzia walił,
Nim go berdyszem obalił.

Gdy o tem Signor powiada,
Staś zawoła niecierpliwie:
„Kiedy się Signor nagada
„Do syta — niewiem prawdziwie!
„Zamiast drogi czas marnować,
„Bo jakaż korzyść z gawędy?
„Czy nie lepiejby sprobować
„Teraz chartów naszych pędy?..
„Niech gończemi wytrą knieję,
„My staniem konno, z chartami
„Od smentarza — mam nadzieję,
„Że nie ujdzie nic przed nami."

Dijakowski na to: „Zgoda!
„Tylko chartów pańskich szkoda
„Trudzić darmo — bo z mojemi
„Dalibóg że im nie sprostać!
„Strzałka z Dogoniem rodzeństwo;
„Gniazdo Dulskich. — Z Wiatrolotem
„Żmijka, bliskie pokrewieństwo.
„Nikt się wyższym chartów miotem
„Nie pochwali. — Sam Kozłowski,
„Nestor łowiectwa, Zozowski,
„Pierwszy znawca między nami,
„Przysłał mi je szczeniętami.
„W pierwszem polu — krew nie lada!
„Zającom i lisom biada!
„Jeden, drugi sus — i w pysku,
„Prócz zabawy i czas w zysku.“

Staś mu na to: „Wolne żarty!
„Oceniłem pańskie charty.
„Żaden z nich nie wart szeląga,
„Chyba stryczka, albo drąga.
„Moich nie chwalę zalety,
„Nie szczególne — sam wyznaję.
„Lecz przed pańskiemi u mety
„Staną — na to słowo daję!“

„O zakład!“ Djakowski woła.
„Zgoda!“ Staś jemu odpowie;
„O co?“ — „O mego Sokoła
„Z Lotką, para co się zowie!“
„Dobrze! a ja Wiatrolota
„I Żmijkę daję do pary;
„Warte swojej wagi złota
„Takiego miotu ogary!“

„Zgoda! Zgoda! niech tak będzie!“
Staś zawołał — „obaczymy,
„Kto ma racyą, a kto w błędzie?
„Chodźmy, szczęścia sprobujemy!„

Już na koniach — już pobiegli,
Charty na smyczy za nimi.
Gdy do smentarza dobiegli
(Gdzie pod brzozy szumiącemi
Mogiły wiejskie drzemały),
Zatrzymał się hufiec cały.

Cudnych obrazów dokoła
Natura tam wdzięk rozlała! [1])

[1]) Cały krajobraz z natury

Gdzie smętarz dotyka sioła,
Wzniosłą płaszczyzną leżała
Przestrzeń lądu niezmierzona,
Morzem łanów ozłocona,
Kobiercem łąk ubarwiona;
Oczeretwiańskiej osady
Swieże, wesołe lewady
Gęstemi klomby czerniały
I drzew kity powiewały.
Wieśniacze chaty w cieniu
Bieliły się w ich oddaleniu;
I staw, ocean wieśniaka,
Zkąd on sobie wydobywa
Drobną płotkę, albo raka,
(Choć i szczupaczek tam bywa),
W nimfowe ubrany kwiecie
Drzemał sobie w oczerecie.

Na pogórku cerkiew stała
Wespół z dzwonniczką półgłośną,
Dalej karczma okazała,
Hulanką słynna radośną.
W dnie świąteczne i w niedziele,
Wiele tam hałasu, wiele!
Całego sioła gromada
Tańczy, gawędzi i pije;
Sąsiad traktuje sąsiada
I nieraz się z nim pobije.
Starszyzna siedząc na ławie,
Czarką wieku chłód ogrzewa,
Rzeźwi się, młodnieje prawie,
Podryguje w takt i spiewa.
Parobków dzielniejsza rola;
Czerstwa młodość, czerstwa wola!
Ogniem ducha krew się pali,
I zdrowie ich hartu stali,
Rzną muzyki — oni skokiem
Każdy swoję dziewkę chwyta,
Cisną się pary natłokiem,
I wesoło tną z kopyta.

W środku parkanu obwodu
Skrzydła swoje dóm rozwijał;
Na zielonem tle ogrodu
Białością raźnie odbijał.
On w dziejach mojej przeszłości
Promieniem świeci pamiątek;
Mar i złudzeń mej młodości
Świadkiem jego każdy kątek.
Dziś — w tym domu, czczość, milczenie —
Dawniej uciechy nie stało!

I żałobne mierzchną cienie,
Gdzie tyle blasku jaśniało!
Na ścianach, niemych niestety!
Te same szkice, obrazy,
Te same sztychy, portrety
I zwierciadeł tła bez skazy;
W ogrodzie te same kwiaty,
Scieżki, altany i zdroje....
Ale gdzie Duch, co przed laty
Tu rozlewał życie swoje?!
Gdzie dni dawnych postać błoga?
Swoboda stosunków droga?
I ta wrzawa, i te gwary,
I ten pożycia tryb stary,
Co wszystkich, u nas, bywało
W nierozdzielne łączył ciało?!

Od smętarza, dokąd żwawo
Nasze skoczyli Nemrody,
Głębokiem korytem w prawo,
Wyżłobionem pędem wody,
Bieży jar wielkich rozmiarów,
Sięgający w dal głęboką.
Tam, w cieniu kniej i czaharów,
Porozrzucanych szeroko,
Murawa rośnie kwiecista
I strumyka fala czysta
Szeleści sobie na piasku,
Nim w gęstwinie zniknie lasku.
Brzegiem krętym jaru, w dali
Wieśniacze siedzą osady.
Przy spokojnej stawu fali
Snem spokojnym drzemią sady
Parijówki,[1]) co wpółdzika
Łoskotu świata unika,
I trwożne okrywa łono
Strelników[2]) ciemną zasłoną.
Nad spadem jaru odnogi,
W lasów ostępie cienistym,
Na posłaniu łąk kwiecistém,
Strojnem w maliny i głogi,
Marzą Lulińce[3]) — a w dali
Przez gazę eteru fali
Widać, w półcieniach lazuru,
Nakształt olbrzymiego muru
Pasmo lasów — a za niemi
Ozdobną gmachy białemi
Andrószowkę,[4]) której progi
U samej pocztowej drogi

[1]) Wieś Tyszkiewiczów.
[2]) Lasek przy Parijówce.
[3]) Wieś dawniej Strutyńskich teraz Sarneckich.
[4]) Wieś Tyszkiewiczów.

Uprzejmie gościa witają
I do siebie zapraszają.

Takie to pasmo obszaru
Gałęzie objęły jaru.
Już w dole kniei gęstwina
Głosem gończych grzmieć zaczyna;
Lutnia znowu rej prowadzi,
Wietrzy tuż nosem przy ziemi;
Cała zgraja za nią sadzi,
I dojeżdżacz za gończemi
Z harapnika gęsto pali
Krzycząc: „Dalej pieski! dalej!"

Aż tu zającek wyskoczy,
Stulił słuchy, pchnął się w pole
Pod górę, myśliwym w oczy,
Pędzi, pędzi, klnąc swą dolę.
Staś i Dijakowski razem
Ze smyczy charty spuścili;
„Nie ujdzie kotowi płazem!"
W głos obydwa przemówili.

Skoczył Sokoł — przestrzeń porze,
Lotka, tuż przy nim, u boku.
Lecz — o! hańbo! — czyż być może?
Dijakowskiego psy — ni kroku!
Sławny Wiatrolot leniwie
Siedzi i w lot muchy łapie,
Strzałka sobie spi szczęśliwie,
Żmijka się zawzięcie drapie,
Dogoń do biegu nie czuje
Chęci i z pchłami wojuje;
A Dijakowski klnie i krzyczy,
Miota się na siodle wściekle,
Psy rzemieniem smaga smyczy,
O diabłach baje i piekle.
„A huż! a huż!" darmo woła,
Szelmy charty ani dbają!
Przykład Lotki i Sokoła
Snać za niedorzeczność mają.
Staś śmieje się — a tymczasem
Zajączek psy z sił wybija,
Tak się rączo puszcza, zwija,
Że się aż oparł pod lasem.

„Kiepsko! Kiepsko!" — Signor rzecze,
Tabaczką ładując nosa.
„Jak uważam, kot uciecze;
„Tchórzom przychylne niebiosa.
„U Sokoła i u Lotki
„Snać muszą boleć nagniotki,

„Albo ich podagra męczy,
Że ich przemógł bieg zajęczy.“

Staś to słyszy — lecz cóż pocznie?
Charty słabieją widocznie,
Leniwiej się pomykają
I coraz dalej zostają.
Na ten widok Juliusz krzyknie:
„Ja wam przywiozę zająca!“
Kropnie konia — z miejsca bryknie,
Skoczył, powietrze roztrąca.

I nim się opamiętali,
On daleko się odsadził,
Jar przeleciał, wał przesadził,
Na zająca obces wali.
Kot do lasu wprost pomyka,
Juliusz mu drogę przecina;
Kot, rad nie rad, w pole zmyka,
Ostatnie siły napina;
Juliusz za nim wichrem goni,
Już blisko — w końcu dościga!
Skoczył — porwał — ściska w dłoni,
I zając biedny zastyga.

Wędrówki zwierząt.

Wiele zwierząt, ulegając jakiejś instynktowej potrzebie, w pewnej porze roku porzuca zwykłe swe siedziby i przenosi się nieraz w bardzo dalekie stony. Te wędrówki, których celu często odgadnąć nie jesteśmy w stanie, zauważano we wszystkich klasach królestwa zwierzęcego. Najczęściej są to wędrówki peryodyczne, ale nieraz zwierzęta zmieniają miejsce pobytu przypadkowo, pojawiając się niespodzianie ogromnemi masami w krajach, gdzie się ich nie spodziewano, niszcząc plony, dobytek i przynosząc z sobą głód i nędzę.

Jeżeli zwierzęta przedsiębiorą zmianę klimatu, można zauważać nadzwyczajny porządek i przewidywanie wszelkich przeszkód, które potrzeba przezwyciężyć; w czasie podróży przypadkowych dzieje się zupełnie przeciwnie. W tych ostatnich nieraz całe stado ginie z głodu, często ani jedno nie staje u celu wędrówki. W wędrówkach peryodycznych natomiast nauczone doświadczeniem starszych, z którego wszystkie korzystają, odbywają podróż w zdumiewającym porządku.

Porządek, w jakim lecą gęsi dzikie do nowej ojczyzny, świadczy o pewnej rozumnej kombinacyi. Całe stado wyciąga się w dwie linie, schodzące się pod kątem zwróconym naprzód; jest to położenie najdogodniejsze przy przecinaniu powietrza. A ponieważ gęś lecąca na przedzie falangi, otwierając drogę męczy się najwięcej, więc gdy siły ją opuszczają, spuszcza się na dół i zajmuje ostatnie miejsce, a inna występuje naprzód.

Myślałem, iż więcej jest wymysłu niż prawdy w tem opowiadaniu dawnych przyrodników, lecz widząc często w czasie podróży po Śródziemnem morzu długie linie przelatujących gęsi, przypatrywałem się ciekawie ich podróży i przekonałem się o sprawiedliwości tej obserwacyi. Widziałem następnie blisko ruin Kartageny, że gdy ci podróżni zmęczeni drogą odpoczywali nad brzegiem rzeczki, na różnych miejscach około obozowiska tej uspionej masy stały szyldwachy, obudzające obóz cały, gdy się zbliżał jaki nieprzyjaciel. Strzelcy nieraz chcieli napaść stado niespodzianie, ale zawsze, nim się zbliżyli na strzał karabinowy, baczne wedety podnosiły głowę, czas jakiś zostawały jakby w niepewności, potem uderzając skrzydłami wydawały krzyk lekki, i całe stado podejmowało się w powietrze, lecąc za swemi przewodnikami.

Jednak bardzo jest podobnem do prawdy, że starożytni Egipcyanie, zręczniejsi od nas, napadali znienacka na podróżujących, bo pomiędzy rycinami czyli hieroglifami na pomnikach Faraonów można widzieć często polowanie z sieciami na dzikie gęsie, i ludzi niosących kobiałki napełnione tem ptactwem. Takie ryciny można widzieć na piramidach w Giseh.

Niektóre owady, porzucając mieszkanie swoje, zachowują nadzwyczajny porządek. Poczwarki jednego motyla (Bombyx procesionar.) maszerują w szeregach, po dwie, po trzy lub po cztery, jedna za drugą, tworząc processyą czasami czterdziestu stóp długości, wywijającą się wężykiem za przywódcą, który idzie na czele.

Ten popęd, ta konieczność zmieniania miejsca lub ojczyzny, objawia się zwykle tylko w osobnikach pełnych siły. Jednak zauważano toż samo u niektórych młodych zaledwo wylęgłych, naprzykład u młodych węgorzy. Te rybki na wiosnę idą pod wodę w rzekach takiemi zbitemi masami, że ich przeliczyć nie podobna. Na brzegach Sekwany widziałem wstęgę węgorzy, mającą łokieć szerokości, która około Ruan ciągnęła ku źródłom tej rzeki przez cały dzień; następnie rybki te rozpierzchły się, nie pozostawiwszy śladu. Zkąd przychodzi ta żyjąca mleczna droga, i gdzie się potem podziewa ta przeźroczysta masa węgorzy, dotychczas nie zbadano. Funt tej masy zawiera 1800 węgorzy. Rybki te wyglądają jak robaki. W wielu miejscach we Francyi łowią je przy świetle pochodni i używają na pokarm. W Kajenie naprzykład sprzedają je na targowiskach

i na ulicach po franku funt. Francuzi jedzą je zwykle przegotowane w białym sosie, pieczone, lub też nadziewają niemi ciasta.

Stosunki handlowe z oddalonemi krainami sprzyjają także wędrówkom niektórych zwierząt, lecz nie tak dalece, jak się zdaje. Przeniesione do innego klimatu, jedne mrą z zimna, drugie z ciepła. Nieraz można widzieć w portach Śródziemnego morza pająki, lub węże krain podzwrotnikowych, które zostały przywiezione razem z korą drzew, używanych do farbierstwa; lecz zdrętwiałe pod naszem skąpem słońcem giną wkrótce, żałując swej szczęśliwszej ojczyzny.

Zwierzęta ssące, chociaż znajdują się w mniej korzystnych warunkach niż inne, odbywają jednak wędrówki, które wzbudzają najwyższe podziwienie. Nic nie ma ciekawszego, jak widok ogromnych stad żubrów amerykańskich, przebiegających sawanny Luisiany. Gdy chwila wędrówki nastąpi, jedno z tych dzikich zwierząt oznajmia się jako przywódca emigrującego stada. Ryczenie jego rozlega się po równinach Meschacebe, i wnet naokoło zbiera się ogromne stado, gotujące się w podróż przez stepy. Wódz wzruszając grzywą, która mu przykrywa oczy i rogi, oddaje pokłon zachodzącemu słońcu, pochylając głowę i wznosząc jak pagórek ogromny swój kark. Głuchy ryk wyrywa się z piersi jego, i całe stado rzuca się za nim w rzekę, którą przebyć mają.

Jeszcze ciekawszą, chociaż mniej szumną, jest wędrówka wiewiorek, mieszkających w lasach starej Skandynawii. Gdy straszne żubry wywracają wszystkie przeszkody, spotykane na drodze, ciche i lękliwe stada wiewiórek walczą z różnemi trudnościami, żeby się przenieść daleko od swego rodzinnego gniazda. Podróżni upewniają, że w Ameryce i Japonii, gdy rzeka jaka zagradza im drogę, każda wiewiórka wyszukuje sobie kawałek drzewa lub kory, rozwija szeroki swój ogon przeciw wiatrowi, i że ta flotyla w ten sposób dostaje się do przeciwległego brzegu. Nieraz się jednak zdarza, że gwałtowny wiatr, zrywając się nagle z gór, przewraca flotę, i biedne zwierzątka tysiącami giną w zimnej otchłani.

Takież podróże, chociaż także niestałe, odbywają lemingi (Hipudaeus). Te zwierzątka, do szczurów naszych podobne, zamieszkują brzegi morza lodowatego, i gdy wczesna zima sprawia głód w górach, schodzą z nich w doliny niezmiernemi stadami. Pielgrzymki ich i z tego względu są uwagi godne, że się w nich lemingi zawsze linii prostej trzymają, nie uważając na żadne, a żadne przeszkody; przypływają bowiem rzeki i jeziora, obchodzą tylko domy i skały, na które wedrzeć się nie mogą. Wędrówkę tę pospolicie odbywają w nocy, w dzień zaś jedzą i odpoczywają. Chociaż wielka ich ilość ginie po drodze, przybywają jednak w takich tłumach, że niszczą wszelką roślinę na polach i rozgrzebują rolę dla ziarna w niej znajdującego się. Tym sposobem lemingi są prawdziwą plagą Norwegii i Japonii, których biedni mieszkańce sądzą, że plaga ta spada z nieba. Szczęściem, że tylko co dziesięć lat raz się pojawiają. Jeżeli wędrówka wypada w chwili, gdy jest wiele nowonarodzonych, matki niosą jedno dziecko w paszczy, a drugie na grzbiecie. Ilość trupów po drodze takich wędrówek czasami jest tak wielką, że ciała gnijące zarażają powietrze.

Małpy, które tak licznie zamieszkują bory starego i nowego świata, mają skłonność do odmieniania miejsca pobytu w niejednostajny sposób. Spustoszywszy jednę okolicę, przechodzą wielkiemi tłumami w drugą, obfitującą w owoce, a jeźli i tu niedostatek da się im uczuć, szukają gdzieindziej zabezpieczenia bytu swojego. W drodze tej matki dźwigają swe dzieci albo na grzbiecie albo na ręku, a cała zgraja oddaje się krzykliwej radości.

Zazwyczaj jednak wędrówki zwierząt są peryodyczne, do pór roku zastosowane. Tak co wiosny szczury, zwane gospodarnemi (hypudaeus oeconomus), zwierzątka do lemingów podobne, opuszczają Kamczatkę i udają się wielkiemi kolumnami na zachód, przebiegając kilkaset mil. Stada te są tak liczne, że gdy po przebyciu więcej niż 25 stopni długości geograficznej w połowie lipca przybywają na brzegi morza Ochockiego i Judamy, jedna ich kolumna prawie przez dwie godziny przeciąga. W miesiącu październiku szczury te powracają znowu do Kamczatki, i są bardzo pożądane dla mieszkańców tych krain, bo z niemi przybywają licznie, inne zwierzęta, dostarczające strzelcom najpiękniejszych futer.

W okolicy przylądka Dobrej nadziei i w części północnej Ameryki pokazują się z wiosną i w jesieni niezmierne trzody antylop i jeleni, które się do odległych krain udają, bo jednych zimowe wiatry pędzą ku południowi, drugich zbyteczny skwar lata posuwa zwolna ku północy.

Ale nadewszystko uwagi godnemi są wędrówki ptaków, bo żadne zwierzę nie okazuje tyle siły i instynktu w długich swoich podróżach, co ptak. Opisy w tym względzie wydają się bajecznemi. Tylko za pomocą nadzwyczajnie delikatnych instrumentów i trudnych obliczeń marynarze przepływają morza, gdy przeciwnie nasi skrzydłaci wędrowce bez przewodnika i bez igły magnesowej przenoszą się z krain północnych do krajów podzwrotnikowych. Żórawie przepędzają lato na płaszczyznach piaszczystych Skandynawii, a w zimie w ruinach pałaców faraonowych.

Organizacya ptaków cudownie jest przysposobiona do odbywania bystrych podróży. Ich wiosła powietrzne, poruszane mięśniami nadzwyczajnej siły, pozwalają im odważać się na zuchwałe wędrówki przez górne warstwy powietrza. Są ptaki, którym latanie jest tak łatwem, że

wydaje się zabawą; takiemi są jaskółki. Powietrze, rozgrzane ciepłem ciała, przenika wszystkie zagłębienia ich organizmu i wchodzi nawet w kości; dla tego też stają się one jak baloniki Mongolfiera lżejszemi od otaczającego powietrza i bez wszelkich wysileń pływają wśród obłoków. Ogromne Kondory z lodowatych wierzchołków And podnoszą się ku niebu tak wysoko, iż giną z oczu, zostawiając badacza w zdumieniu, jak mogą oddychać w atmosferze tak rozrzedzonej.

Ptak, posiadający tak wątłą organizacyą, co do siły przewyższa nasze ciężkie maszyny, poruszające się na żelaznych szynach. Jego nerwy i naczynia, pomimo swej nadzwyczajnej delikatności, działają i opierają się zniszczeniu lepiej, niż nasze olbrzymy parowe, bo tam jest ręka Boga, a tu tylko jeniusz ludzki. Rzucając się w przestrzeń, ptak bawiąc się przelatuje mil kilkanaście na godzinę, gdy tymczasem lokomotywa w najsilniejszym pędzie, otoczona ogniem i dymem, nie może przebiedz takiej przestrzeni inaczej, jak ekspensując ogromną ilość węgla i wody, przy piekielnym huku kół i pump.

Mewy, przebywające na skałach wysp Barbadskich, codziennie odbywają przechadzkę o siedmdziesiąt mil na oddaloną wyspę, gdzie przepędzają czas szukając pożywienia i bawiąc się. Ptak przewyższył przemysł ludzki!

W ciągu tych odważnych wędrówek ptaki kierują się wzrokiem i powonieniem lub innym jakim zmysłem nam niewiadomym. Wszyscy historycy opowiadają, że po bitwie pod Pharsalą zgniłe wyziewy z trupów przywabiły stada sępów z Azyi i Afryki, które przyleciały tam na ucztę. Humbold opowiada, że jeżeli w najdzikszych okolicach Kordylierów, gdzie nigdy nie widziano Kondora, padnie koń lub krowa, w kilka chwil potem przylatują te drapieżne ptaki, żeby podzielić się ich ciałem.

(Dok. nast.)

FIOŁKI.

NOWELLA.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SZANSER (Ordon.)

(DOKOŃCZENIE).

IV.

Hrabia powróciwszy do domu czuł się dziwnie źle usposobionym. Czy chłodne powietrze wieczoru, czy przebyte, — choć chwilowe tylko wzruszenie kaszlał mocniej niż zwyczajnie i wpadł w stan gorączkowy. W tym pół jawie, pół marzeniu, wszystkie najtajniejsze myśli jego wyszły, jak rój pszczół z ula na słońce, z głębin jego duszy i ulatywać przed nim poczęły.

Postać jakaś, — w tysiącu kalejdoskopowych przemianach — powtarzała się przed nim. Była to postać kobieca, czarująca, nieodparta, we mgłach jakichś ognistych pływająca: raz powiewna jak przędza Matki Boskiej w piękny dzień jesienny, to znowu ustrojona w giętkie i plastyczne kształty greckie; — biała od piany morskiej jak Wenus — to znowu jak bachantka, rozczochrana, z tyrsem w dłoni, urągająca satyrom w szalonym biegu po skałach;... to w białej zasłonie Malwiny Ossyana, przy krosnach na wysokim rycerskim zamku; — to w surowych draperyach Holbejnowskiej Madonny.

Rzecz dziwna! Wszystkim tym kobietom brakło głowy! Napróżno zapalona wyobraźnia jego siliła się dorysować głowę do tych ciał mieniających się, splatających, gnących i ulatujących w powietrzu; niesłychane znużenie i bezsilność opanowywały jego umysł: raz zdawało mu się, że chwyta oczy, że nakreśliłby mógł usta i... nagle wszystko zacierało się jak sen — po otwarciu powiek. Spał czy czuwał, — nie wiedział. Chwilami zdawało mu się, jakby upragniona twarz owa przelatywała koło niego tak blisko, że mógł ją chwycić, ale nie miał siły poruszyć się, i zdawało mu się, że to, czego nie mógł schwycić, było szczęście. Przywoływał do siebie wszystkie fizyognomie znane dawniej, dalekie i więcej bliskie, i żadna nie przystawała do jego myśli. Owszem każda z tych głów, skoro ją oświecił ogniem swojego chciwego spojrzenia, zapalała się, potem czerniała i tylko iskierki zostawały na niej odrywające się co chwila, jak iskierki ze spalonego papieru. Żadna z tych twarzy nie była jej twarzą... nie mogła być jej twarzą! A żądza jego i wytężenie wyobraźni wciąż rosły. Wreszcie doszły do delirium. Wszystkie władze jego naprężyły się jak struny na harfie, i miały tylko jedno pragnienie wywołania z nicości tej twarzy — ubrania uroczej tajemnicy w ciało; — jeden tylko dźwięk rozkazujący i uparty: znaleźć ją!...

Tu gorączka z rzeczywistością się zmieszała. Zdawało mu się, że jeżeli teraz pójdzie do okna — z okna zobaczyć ją musi...

Z okna nic nie zobaczył...

Ten sam popęd i głos pędziły go do ogrodu....

W ogrodzie było milcząco i pusto...

Wybiegł za bramę i piechotą bez kapelusza szedł przed siebie, bez pamięci...

Jak słup ognisty szło przed nim widmo, — bez głowy.

W godzinę potem znaleźli go ludzie leżącego bez przytomności przy skręcie do chaty Pescary.

Przyniesiono go w silnej gorączce do domu.

Całą noc prawie rzucał się i bredził... Nie poznawał nikogo... Wierny Wiliam wraz z Bettiną i dwiema jeszcze litościwemi sąsiadkami czuwali przy nim...

Podnosił się od chwili do chwili z błędnemi, iskrzącemi oczyma i przy bladem świetle lampki nocnej wgłębiał spojrzenia w otaczające go twarze. Przenosił je od jednej do drugiej osoby.... Potem jakby zniechęcony i zawiedziony padał bez sił na łóżko... Nad ranem oprzytomniał i otrzeźwiał... Skinieniem ręki przywołał Wiliama, który podskoczył i z płaczem przylgnął do uwielbionej ręki pańskiej... Hrabia chciał sam pozostać... Ociągając się, niechętnie wysunęli się wszyscy po cichu z pokoju...

Chory podniósł się i oglądał w około siebie. Niewymowna prostracya moralna i fizyczna go przytłaczała.... Próbował przypomnieć sobie. Naprożno. Silił się myśleć... uczuł wyraźny ból w mózgu i przerażającą pustkę. Wszystkie jego ideje pomieszały się i pomieniały na miejsca... Co zrobił? co ma robić? nie wiedział. Czuł tylko rozkazującą, zwierzęcą potrzebę odpoczynku...

Pierwszy powiew ranku odświeżył go i pokrzepił... Machinalnie otworzył usta, ażeby pochwycić tę błogosławioną świeżość, i oczy podniósł do okna... Już ich oderwać ztamtąd nie mógł... Jakiś niewyraźny, cichy głos mówił mu, że pójść tam powinien... Zdawało mu się, że coś na tem zależało.... coś w każdym razie bardzo ważnego...

Zwlókł się z trudnością z łóżka i upadł zadyszany w wielki fotel stojący przy oknie... Jego ciężka, jasna głowa pochyliła się na aksamitną purpurową poduszkę, wyściełającą okno, i w tej pozycyi została... Tylko oczy szeroko otwarte z niejasném i nieświadomem jakiemś oczekiwaniem patrzyły przed siebie....

Powiało raz i drugi mocniej od Arno... Liście zaszeleściły i poruszyły się, jakby dreszcz przez ich żyłki przebiegał... Rzęsiste krople rosy posypały się z drzew. Gdzieś w głębi gaju odezwał się ptak jakby przez sen, i ucichł... Drugi... Trzeci...

Na wschodzie zabielało... Blady obłoczek się wysunął na lekko różowe niebo, jak wielkie oko zamknięte. Powoli wyrosły z tego oka złote rzęsy i rozciągnęły się smugami po niebie... Powieka odchylać się poczęła... Strzelił z niej jeden, drugi promień, i naraz odsłoniła się wielka ognista żrenica... Jak z krateru buchnął z niej płomień purpurowy i całe niebo zalał... Zapaliły się góry, lasy, rzeki. Posypały się tęcze i dyamenty. Każda kropla rosy miała swój rubin... każde drzewo złotą koronę... Cud ten powitał olbrzymi okrzyk w całej naturze... Przestrzenie przemówiły jak wieża Babel: tysiącem języków.

Hrabia podniósł się i słuchał. Zdawało mu się, że w tym chaosie dźwięków musi się znaleźć jedno słowo dla niego... I rzeczywiście jakiś obcy, odmienny głos poruszył się blizko niego. Hrabia wychylił się i patrzył... Cały był w oku i słuchu...

Szelest ucichł...

Hrabia usiadł z wyrazem gorzkiego zawodu.

A jednak nie mylił się słuchając i patrząc. W tej samej chwili z gęstwiny bluszczów i dzikiego wina, splecionych nad murem, śledziło go dwoje płonących oczu. Oczy te wpatrywały się z bolesnem i głębokiem współczuciem w zapadłą, znękaną twarz jego, jakby liczyły ślady pługa śmierci. Pług ten naorał już na jego twarzy bruzd co nie miara... Złudzenie, czy rzeczywistość, ale w owych śledzących oczach zalśniły dwie wielkie łzy, zebrały się i stoczyły na liście... Znać jednak oczy owe chciały zobaczyć jeszcze lepiej, bo wnet ostrożnie wychyliła się z ramki liści głowa i twarz cała, i pozostała tak przez chwilę... Ach, jakaż głęboka i przerażająca walka malowała się na tej twarzy! Usta otwierały się, jakby chciały zawołać, to znowu zahamowane gwałtownie ściskały się kurczowo. Rysy rozjaśniały się słodkim wyrazem i wnet rozpaczą oddychały... To znowu odmalowało się na nich dzikie, energiczne postanowienie, i wysunęły się ramiona, jakby cała postać ukryta wyskoczyć i nagle rzucić się do hrabiego miała... W takiej chwili w niewielkiem oddaleniu niewymowna trwoga łamała energią tej ruchliwej twarzy, i wysuwała się ręka, machinalnie, ażeby się przeżegnać... Wówczas i drugi ów szelest ucichał. To wahanie powtórzyło się kilka razy. W jednej z takich chwil hrabia naraz obejrzał się... Nim jednak miał czas pochwycić ten obraz... głowa z błyskawiczną szybkością skryła się, przytłumiony okrzyk trwogi zabrzmiał, — wiązka fiołków spadła, nie dosięgnąwszy okna, na piasek alei... I szybki bieg ucieczki zatętnił...

Młodzieńcza siła wstąpiła w hrabiego. Jednym skokiem stanął w alei i na mur się wdzierał. Ten sam okrzyk trwogi, ale bardziej oddalony, dał się słyszeć... Uciekająca postać się zatrzymała...

— Na rany Chrystusa! Milordzie zatrzymaj się! — zawołał z gęstwiny, błagalny przyciszony głos...

Och! Jakże czarującym głos ten wydał się hrabiemu. Nie ruszył się, bo nie miał siły, i drżał, żeby uciekającej nie spłoszyć...

— Jeżeli nie chcesz znowu sam zostać! — odezwał się głos znowu, — wróć do siebie i strzeż się mnie śledzić!...

Sam zostać!... Hrabiego śmiertelny mróz pochwycił... Teraz sam zostać!... Drgnąć nie śmiał... Gałęzie zatrzeszczały....

Odchodzi! — przebiegło przez głowę jego jak błyskawica... Nigdy więc jej nie zobaczę!... Wszystka krew wzburzyła się w nim i zaszumiała...

— Stój! — zawołał... Ktokolwiek jesteś, miej litość nademną.... Nie bój się mnie.... Umarły człowiek jestem.... Musisz wiedzieć, że konam, bo liczysz dni mojego konania, ale nie wiesz, że nie skonam, aż cię zobaczę... Wypuść duszę moję na wolność!... Przyrzeknij, że przyjdziesz... Zaczekam na ciebie!... Choćby w ostatnią godzinę... przyrzeknij!.. Choćby w ostatnią minutę tej godziny... Oczy jeszcze będę miał żywe dla ciebie... Nie pójdę za tobą, nie poślę za tobą, będę ci i wierzył i czekał — umierających się nie zwodzi — przyrzeknij!...

— Przyrzekam — odpowiedział cichy, jakby łzami przesiąknięty głos, uroczyście.... i wyraźnie...

I szybkie kroki pobiegły ku wsi... Niedługo jednakże biegły, bo już przy skręcie z gaju na drogę inne ciężkie stopy zatętniły za niemi, wyprzedziły i stanęły...

— Nie przyjdziesz, Marjetto! — zawołał głos przytłumiony, ale twardy i stanowczy...

- Cecco!... wykrzyknęła z trwogą Marjetta (ona to była bowiem) cofając się...

— Nie przyjdziesz! — powtórzył Cecco, zastępując jej drogę i kładąc rękę na jej ramieniu...

— I któż mi zabroni? — zapytała hardo dziewczyna, odstępując od niego...

— Ja!... odpowiedział Cecco spokojnie, patrząc wprost na nią....

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Czarne, płonące dziko oczy Cecca tonęły w błękitnej źrenicy Marjetty, jak słońce w jeziorze... Pod wpływem tego płomienia wysychały powoli ślady łez pod powiekami Marjetty, aż oko jej stało się suche i ostre jak u Cecca, i wyszedł z niego błysk podobny. Te dwie błyskawice uderzyły na siebie, splotły się i pasowały przez chwilę. Żadna niezwyciężyła..

Wśród tego oboje milczeli, ciężko dysząc...

Pierwsza przerwała milczenie Marjetta, nie zdejmując oczu z Cecca...

— Przyjdę, — bom przyrzekła, powiedziała również spokojnie...

— To nie pierwsze przyrzeczenie, które złamiesz!... Umiesz kłamać Bogu i ludziom!... Przysięgałaś Madonnie na czystość, kiedy ojciec tonął, i mnie przysięgałaś, żmijo dwujęzyczna! Bądźże potępiona i on z tobą!... Dobrze powiedział: że jest umarły; przysięgam ci, że dobrze powiedział!...

Dziewczyna drgnęła...

— Pamiętaj, że i tyś przysięgał... zawołała gorąco...

— Nic nie pamiętam — rozśmiał się ironicznie Cecco — utopiłem pamięć moję na środku Arno, w tem samem miejscu, gdzie twój ojciec niegdyś tonął, a nikt się nie znalazł, ktoby ślubując czystość Madonnie, prosił dla niego o ratunek... Bądź zdrowa i zmów dwa razy wieczny odpoczynek!...

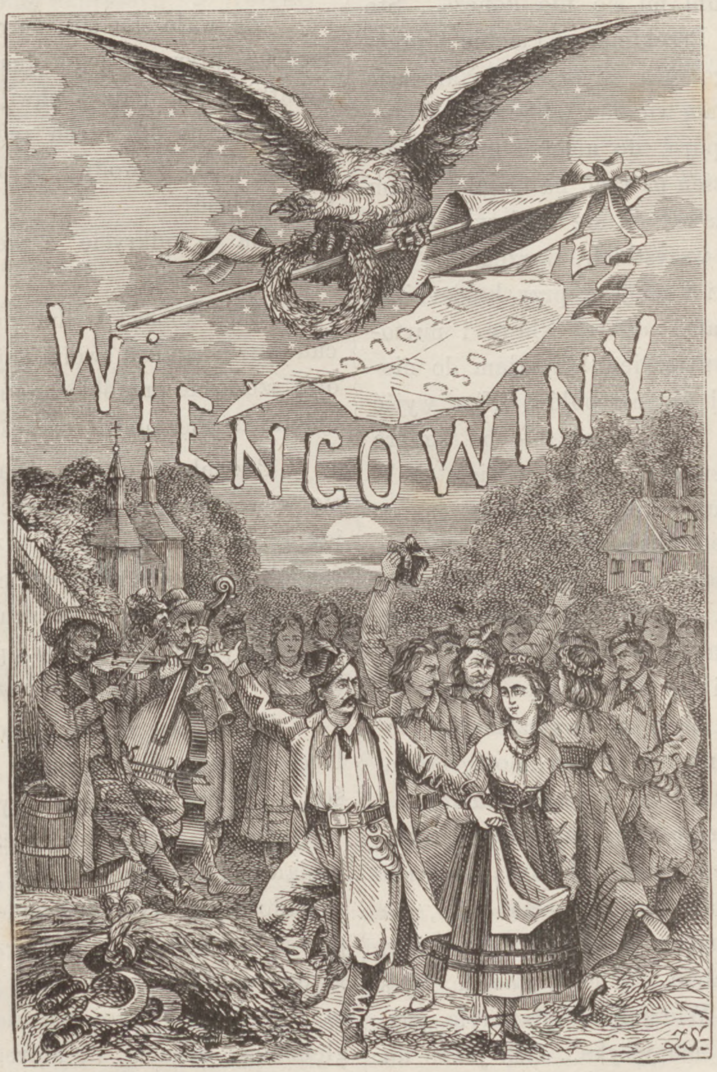
Dziewczyna schwyciła go gwałtownie za rękę...

— Gdzie idziesz? — zawołała... W otchłań wiekuistą?!..

— Aż na dno samo, — odpowiedział wydzierając się Cecco.. Człowiek swojego losu nie minie... Już od owego ranka, kiedym cię pierwszy raz, niosącą z Letri fiołki, schwycił, miałem ciągle czerwoną zasłonę przed oczyma.... co zwykle bywa, jak starzy mówią, kiedy jaki człowiek ma zginąć..... Mam starą fuzyą sznurkami powiązaną po Matteu, którego celnicy zabili — dusza zabitego w niej siedzi. Dwa razy w życiu lazła mi już ta lufa w ręce... Nie popuszczę jej raz trzeci... Wydarłaś mi przysięgę... powiedziałem, że on żyć będzie, alem wierzył, że kiedy Madonna mnie odbiera ciebie — nie dasz się jemu... Skłamałaś! Miejże z twojej przysięgi kamień u szyi, ja z mojej kulę uleję. Idź swoją drogą!...

— Czekaj jeszcze! Gniew cię oślepia...

— Ani chwili! To ja go oślepiałem dotąd... Teraz przej-



(Obacz wiersz na str. 328)

rzał... Puszczaj! Myślisz, żem mało wytrzymał i że wytrzymam więcej!...

— A ty myślisz — wykrzyknęła z rozpaczą i szaleństwem Marjetta, z męzką siłą chwytając go za ręce, — a ty myślisz, żem ja mało wytrzymała!... Od pierwszej chwili, gdym mu spojrzała w oczy, wziął mnie dla siebie! A jednak opierałam się... Wiedziałam, że lubił fiołki, bo ich w ogródku naszym dla niego szukano; wiedziałam, że był skrzywdzony, opuszczony i chory, i te z Letri najpiękniejsze kwiaty na pociechę i osłodę tajemnie mu przynosiłam. Sądziłam, że tak wytrwam... Ale napróżno! Noce mam na zarzewiu, a dni mi się nie kończą... Sto razy na piekło zasłużyłam... Przeklinałam i siebie i przysięgę moję i ojca!... Własnego ojca, słyszysz!... Nareszcie nieszczęsna, Madonnie chciałam wieniec odebrać... Wiesz, com zrobiła: postanowiłam pójść do niego i umrzeć raz z nim wspólnie... zamiast codzień patrzeć na niego i z nim konać; — pocałunek jego zdawał mi się słodszy, niż raj cały.... chciałam mu zastąpić wszystkich, wyrzekałam się dla niego raju, białej sukienki i miejsca przy baldachinie na Boże Ciało się wyrzekałam, dobrej sławy i mirtowego wieńca na trumnie... wszystkiego! i szłam do niego... Ale ojciec zrana wybrał się na połów. Nim wyjść mogłam, wrócił... Był blady jak śmierć — bo śmierć widział, zadziwiony i przestraszony... Wiesz, co się stało?! Łódka była cała, zdrowa jak oko i wylana smołą po brzegi... Trzydzieści kroków od brzegu do pół wody nabrała i zaczęła tonąć... A wiesz, co to było?... Pod wodą ani jednej szparki nie było. To Madonna nie chciała oddać mojej przysięgi!... Zostałam w domu.

Cecco zbladł i mimowoli się przeżegnał...

— Tak, zostałam w domu, alem nie wytrzymała! Widząc wczoraj, jak padł przy naszym domu, pomyślałam, że umrze bez mojego uścisku... Na tę myśl zamarłam... Dziś przyszłam o świcie... Tysiąc razy patrząc na niego, w gęstwinie dawał się słyszeć drugi szelest. Ale wnet z duszą się rzucić miałam. Starego ojca mi żal było, nie duszy — Madonna mu nie daruje... A wszystko to działo się we mnie, choć nie wiedziałem, czy mnie kocha... Dziś słyszałam, zrozumiałam go! Widziałam tutaj tyle jego współziomków i nauczyłam się ich języka... Och jakże mi ten język w jego ustach wydał się cudownym! Kocha mnie!... Dziś wiem o tem! mogęż się wstrzymać!...

— Przeklęta — mruknął Cecco. — Słowa jej pieką jak zarzewie!... On musi zginąć!...

Porwał się i począł biedz ku willi...

— Stój! — zawołała z przerażeniem zatrzymując go raz jeszcze Marietta, — on i tak umiera! Słyszałeś, że chciał przed śmiercią — na minutę przed śmiercią mnie zobaczyć... Przysięgam ci, że wejdę z nią razem!...

— Przysięgasz, — rzekł wahając się widocznie Cecco — kto mi zaręczy, że dotrzymasz...

— Nie odejdziesz na krok odemnie. Zostanę póki on żyje w Reni. I tak cztery dni już, jak wyszłam z Letri... No, teraz nie długo pewnie ciotka czekać będzie na mnie! Ty nie opuścisz mnie, ja ciebie... będziemy siebie pewni!...

Cecco spojrzał na nią ponuro, pochylił głowę i ruszył naprzód ku wsi. Marietta poszła za nim powoli.

Tymczasem hrabia pozostał na miejscu w niemej i głębokie ekstazie. Słyszał jej głos... zobaczy ją!... Więc to nie złuda jego wyobraźni!... Więc ta olśniewająca mara istnieje, żyje!

Słońce wznosiło się coraz wyżej...

Zdawało mu się, że razem z tym słońcem olbrzymia jasność spływa w jego duszę i oświeca jej najtajniejsze zakątki... W jednej chwili zrozumiałem mu stało się wszystko, co od trzech tygodni przeczuł i przeżył.... Te nadzieje, te zawody, te udręczenia, te gorączki — to była miłość!

Na to odkrycie z piersi mu się wydarł olbrzymi okrzyk radości,...

Więc kocha! kocha znowu! znowu to boskie uczucie cudownym ogniem swoim napełnia jego piersi!.. Toż to więc owe szczęście przyobiecane mu przez ojca!.. Błogosławiona obietnica, niezmierne szczęście!...

Przymknął oczy i wpatrywał się w siebie, pławiąc się w wewnętrznym zachwycie; — izolując się od świata, jak Bramin zatopiony w rozpamiętywaniu Boga i powtarzający tylko od chwili do chwili świętą sylabę: O m!... —

Tak postanowił w skupieniu czekać jej pojawienia się. Że przyjdzie, nie wątpił. Ojciec i Ona przyrzekli. Kiedy? Jak? W każdym razie przed śmiercią!

To wielkie serce, — obdarzone przez wróżkę w kolebce jeszcze drogocennym i niebezpiecznym darem miłości, — które tak długo żyło tylko dla matki i brata, wyzyskane i zdradzone przez nich; — pozbawione nawet posiadania pierwszej kobiety, do której z całą siłą się przywiązało; mimo tylu doświadczeń gorzkich i zawodów, nie przestało nieświadomie wierzyć i z dziecinną ufnością wyglądać od Boga zasłużonej nagrody dla siebie. Nagrodą tą być mogło tylko znalezienie owego bezinteresownego, głębokiego uczucia, do którego hrabia całe życie ręce wyciągał. Nagroda ta mu się należała; Bóg był mu ją winien, włożywszy w jego duszę tak gorące pragnienie, takie skarby poświęcenia i wiary.

Miałażby ta łaska boża być dla niego fatalizmem i przekleństwem?! Te skarby mogłyżby bez użytku zejść z nim do grobu!... Nigdy!... Ta pewność była u hrabiego tak wielką, że sny jego włożyły zaręczenie takiego szczęścia w usta zmarłego ojca jego; że wizyą tę wziął za świętą i niewątpliwą obietnicę.

A teraz wszystka ta wiara ziściła się!...

Tajemniczo, z twarzą zagadki przyszła owa miłość

do niego, i tem prawdziwszą, tem droższą mu się wydała. Tajemniczość ta właśnie nadawała jej cechę boskości. Ta ukochana już go nie zwiedzie! Przyjść obiecała!

Zbliżająca się śmierć podniosła mocniej jeszcze egzaltacyą jego duszy.

Cały zamienił się w oczekiwanie!...

A gotował się do owej spodziewanej chwili, jak do widzenia się z Bogiem. Wydobył najulubieńszych swoich poetów i czytał ich. Ale przekonał się, że przestał ich rozumieć!... Mówili zbyt ludzkim językiem. Jemu teraz wystarczyłyby zaledwie płomienne expressye św. Teressy i anielski słownik mistyków.

Tak minęło dni kilka, a nadzieja jego nie spełniała się...

Nie niecierpliwił się ani chwili, ale starał się powiększyć w sobie potęgę i głębokość pragnienia... Czekał i wierzył...

Jednakże to biedne ciało tak niezwykłej rozprężliwości ducha znieść dłużej już nie mogło...

W kilku dniach choroba wygrała wszystkie dawniejsze pauzy i czarny swój sztandar widomie zatknęła...

Z krzesła wstać już mógł zaledwie. Cały dzień przesiedział z oczami zwróconemi ku stronie, zkąd tajemniczy dostawał podarek albo zwlekał się do klęcznika i modlił. Wyglądał wtedy, jak zachwycony. Mieszkańcy willi i sąsiedzi budowali się wielce tym widokiem, kobiety ze łzami w oczach i ze czcią rozpowiadały sobie o tem...

Biedny Wiliam tylko rozpaczał i próbował udać się po doktora, ale hrabia wstrzymał go surowo. Na tym punkcie był niewzruszony. Wszak zbliżenie śmierci zbliżało chwilę ujrzenia Jej.....

A śmierć zbliżała się wielkiemi krokami...

Na czwarty dzień złożono hrabiego na łóżku, z którego już podnieść się nie mógł. Spokojny, przytomny i łagodny, z rozrzuconemi jasnemi włosami na batystach poduszek, bielszy od tych batystów, z twarzą zwróconą do słońca... leżał tam i czekał...

Ciągle czekał...

Chwilami zdawało się, że już przestał oddychać.... i z piersi Wiliama wydobywał się jęk żałośny, a tłumy zgromadzone przed willą i na drodze jęk ten powtarzały i podawały sobie ale chory otwierał łagodnie oczy i na drzwi spoglądał...

Naraz przed willą dał się słyszeć szmer i poruszenie. Następnie szybkie kroki zabrzmiały, i przez tłum cichy i skupiony przecisnęli się dwaj czarno ubrani ludzie.

Byli to dwaj doktorowie, których jakaś litościwa dusza sprowadziła z Florencyi. Za nimi utorowaną drogą spieszyła się smukła, w czerwonej krótkiej sukience dziewczyna...

Twarz miała tak rozpaczliwą i pełną zamętu, że rozstępowano się przed nią.

Przy wejściu do przedpokoju zastąpił jej drogę dorodny, czarnowłosy chłopak...

— Gdzie idziesz? Marjetto! — rzekł groźnie... pamiętaj, coś obiecała...

— Zabiły mnie moje obietnice i jego zabiły — odrzekła z wyrazem obłędu dziewczyna... Puść mnie...

— Nie puszczę... pamiętaj na przysięgę...

— Przysięgłam Madonnie na czystość i dotrzymałam przysięgi... do umarłego idę!...

— Nie wolno mu mieć więcej odemnie... On jeszcze żyje... i, na Chrystusa! nie wejdziesz, aż duszę jego lecącą zobaczę!...

Dziewczyna jękła i osunęła się na podłogę.

Tymczasem z pokoju chorego wyszli dwaj czarni panowie, obadwaj mieli namaszczone miny i złote okulary. Szli tak równo i miarowo, że zdawało się, iż trumnę niosą na barkach... Nieśli sygnał grabarzowi i cieśli...

Dziewczyna podniosła się ze straszliwym okrzykiem i odsunąwszy Cecca wbiegła do przedpokoju..,

Na jej widok dwaj doktorowie tknięci jej twarzą szaloną cofnęli się i zawołali...

— Zkąd ta dziewczyna... Weźcie ją ztąd.... Unikać skandalu!...

— Pozwólcie mi panowie zostać przy drzwiach!... prosiła się Marjetta.

Nagle zewnątrz wybuchnął głośny okrzyk. Turkot licznych powozów dał się słyszeć... Wszystek tłum popłynął w tę stronę...

To krewni hrabiego przyjechali.

Marjetta weszła do pokoju...

Zachodzące słońce gorącą falą wlewało się do sypialni. Rozpryśnięte na drobne pyłki w szkłach, zwierciadłach i srebrach, padało jak pożar na białe adamaszkowe obicie pokoju, zasiane złotemi kwiatami. Kwiaty pływały w tym pożarze, jak pszczoły złote. Przez tę ognistą zasłonę rzuciła się Marjetta do pościeli zmarłego. Był to już bowiem umarły. Oczy spoczęły głęboko... usta przymknęły się cicho, ręce zwisły łagodnie i ciężko razem... a jednak uśmiech spokojny i ufny... uśmiech dni ostatnich, nie opuszczał zagasłej twarzy... Zdawało się, że spał... ale czujnie, jak żołnierz gotowy na pierwsze hasło i o zwycięztwie marzący... Kiedy Marjetta stanęła pomiędzy nim a światłem, złamany przez nią snop czerwonych płomieni przerzucił się przez jej głowę i deszczem iskier różowych uderzył oczy zmarłego...

I o cudo! Na ten błysk zmarły otworzył oczy, obciążone już pomroką grobową i szukać począł... Szukał z wysileniem, a jednak wyraz niesłychanego szczęścia opromieniał twarz jego... Nagle spostrzegł ją, i podniósł się, jakby chciał się rzucić, ale w tej chwili opadł znowu bezsilny, szepcząc —

— Boże! mój Ojcze! dziękuję wam!...

To były ostatnie jego słowa...

W tej chwili zadzwoniono na Anioł Pański w Reni.

V.

Nazajutrz dwa wielkie wypadki zajmowały wieś całą...

Zrana, czuwające przez noc całą przy zmarłym Catalina i Bettina uczuły woń cudowną i przenikającą.

Cała trumna zmarłego i biały atłas poduszek i aksamit katafalku zasypane były fiołkami... Fiołki leżały na podłodze, fiołki na srebrnych podstawach lichtarza — a wszystkie wilgotne były, jakby nalane rosą, a które w pączkach były, rozkwitały leżąc, jakby rosły jeszcze w ziemi. Takie kwiaty znajdowały się tylko w Letri i w ogródku córki starego Pescary... ale nikogo nie widziano wchodzącego ani wychodzącego.

I uwierzyła okolica cała, że zmarły, choć heretyk, łaskę miał osobliwą u Boga!

Drugi wypadek stał się we wsi... Stary Pescaro ściągając niewód, na środku rzeki ułowił w jego oka... własną córkę Marjettę!

Nic się w niej nie zmieniło... Miała jak dawniej czarne włosy... gładko przyczesane, tylko teraz bardziej wilgotne. Tylko purpurowe usta zbladły, a krew i słońce z błękitnych żyłek uciekły...

Biała koszulka i czerwona spodniczka owisły w ciężkich draperyach na obsypane drobnym piaskiem ciało i mokre, małe bose nóżki!...

Dla czego tak Boga obraziła, nikt, prócz Cecca, nie wiedział, ani się domyślał...

Tylko stara ciotka mruczała:

— Boże mnie nie karz!... Zanadto często z Letri wybiegała gdzieś nocami!...

Cecco wojuje z żandarmami w Kalabryi, śladem Fradiavola.

Lwów 29 lipca 1873.

WIEŃCOWINY.

(KRAKOWIAK.)

Wziąłem Bogu złoty łan,
Życia się nie boję;
Na cześć Boga żwawo w tan
Chłopcy i dziewoje!

Wziąłem słońcu żrzały kłos,
Chmury się nie lękam;
Na cześć słońca spiewam w głos,
W podkóweczki brzękam!

Wziąłem ziemi słodki płód,
Wymłócę go gładko;
Hej! nie straszny mi już głód,
Ziemio! cześć ci matko!

Na przednowku człecze cierp,
Dobrze rąk podkasaj!
Kiedy się już sprawił sierp,
W głos spiewaj i hasaj!

Świat się toczy, chociaż głaz, —
Dowodzą, jak z płatka —
Hop-ha! toż to z nami wraz
Tańczy ziemia — matka!

Gwiazdom ona wodzi rej
Naokoło słońca;
A my dzieci w koło niej
Hasajmy bez końca!

Och! wspaniały ja dziś pan!
Och! kochanie moje,
Och! i świat — i słońce — w tan
Suną, jak nas dwoje!

B. Komorowski.

ROCZNICE HISTORYCZNE.

Październik.

Geologowie badając dzieje tworzenia się naszej ziemi, przedstawiają obrazowo skutek swoich badań jako przekrój skorupy ziemskiej w pewnem miejscu podług linii pionowej uczyniony. Tym sposobem stają przed naszą wyobraźnią w jednym rzucie oddane owe wieki wieków, które ziemia przeżyła, nim wydała człowieka, a następnie jeszcze wieki wieków, które przeżył rodzaj ludzki na tej ziemi aż do chwili, gdzie stał się świadomym związku między przeszłością a przyszłością i jął samowolnie przez pomniki lub wcale przez pisane dzieje utrwalać pamięć swoich czynów dla potomnych wieków.

W tych pisanych dziejach, gdy przez szereg wieków i lat przedstawimy sobie następujące po sobie rocznice, które przypadają zawsze na te same dnie albo przynajmniej

w tych samych miesiącach tworzy się obraz podobny do owych geologicznych przekrojów, a raczej szereg obrazów, stojących w jednej linii za sobą i dających nam widok jakby perspektywiczny zdarzeń, zaszłych w długim przeciągu lat zawsze w tych samych dniach albo przynajmniej miesiącach.

Tak w październiku poczyna się szereg zdarzeń ważniejszych w dziejach naszego narodu, o ile nam ich dane są wiadome, z rokiem 1139.

W roku tym d. 25. października umarł Bolesław Krzywousty. Smutna to dla Polski rocznica. Na nim kończy się pierwszy peryod, świetnie poczęty przez Bolesława Chrobrego, peryod, w którym się Polska skonsolidowała jako mocarstwo, zbliżała do stanowiska wielce ważnego, jakie zająć mogła i powinna była w całej północnej Słowiańszczyźnie, a przez to i w Europie.

Nieprzebłagany tok dziejow zrządził inaczej. Bolesław podzielił, obyczajem ówczesnych monarchów, uważających państwa, któremi rządzili, za własność swoję prywatną, między synów. Spowodowało to następstwa bardzo smutnej pamięci. Polityka króla, zdążająca do usunięcia sporów sukcesyjnych, okazała się mylną, a Polska została wtrąconą w cały szereg zamieszek, niepowodzeń i klęsk, aż się Władysława Łokietka dzielności udało, zjednoczyć rozbite dzielnice i stać się odnowicielem polskiej potęgi.

Z tego też peryodu zaledwie warto wspomnieć jednę jeszcze rocznicę, przypadającą na d. 13. paźdz. Jestto rocznica śmierci Bolesława Kędzierzawego, który w r. 1173, zeszedł zostawiając Polskę osłabioną i skołataną wewnętrznemi rozterkami.

Po tym nieszczęsnym dla Polski peryodzie, a następnie po świetnych rządach Łokietka i Kazimierza Wielkiego, poczyna się wielkiego znaczenia i pełen błogich następstw okres z dniem koronacyi królowej Jagwigi d. 15. października 1385.

Nie będziemy się tutaj rozwodzić nad ważnością tego aktu, gdyż aż nadto powszechnie jest znaną doniosłość wstąpienia na tron królowej Jadwigi, a następnie zaślubin jej z Jagiełłą.

Z całego peryodu panowania Jagiellonów nie przypada na ten miesiąc żadna rocznica bardzo wielkiej wagi.

Mamy tylko do zapisania dzień 27. października roku 1430 jako rocznicę śmierci Witolda, brata Jagiełły. Śmierć ta była roztrzygającą o stosunku Litwy do Polski. Był bowiem Witold jednym z tych którzy się kusili o zerwanie tej błogosławionej w skutkach swoich unii przez małżeństwo Jagiełły z Jadwigą poczętej. Zamieszki, wzniecone po śmierci Witolda przez drugiego brata królewskiego, Świdrygełłę, są jeszcze dalszym ciągiem dążeń do oderwania Litwy od Polski.

Ale za następujących Jagiellonów został już ten związek mocniej ustalonym.

Jak za Jagiełły było, tak i za następcy jego Władysława Warneńczyka obejmuje brat królewski, Kazimierz, Księstwo Litewskie. Gdy zaś po zawczesnej bohaterskiej śmierci Warneńczyka, Kazimierza obwołano królem Polskim, pozostała Litwa z Polską w jednem ręku. Po śmierci Kazimierza został wprawdzie nanowo podział przywrócony, ale nie zerwano jedności o tyle, że znowu dwaj bracia rządzili oboma krajami: Jan Olbrycht Polską jako Król, Alexander Litwą jako W. Xiążę.

Po niedługiem panowaniu Jana Olbrychta objął rządy w Polsce Alexander jako król, aby jeszcze króciej panować, a w ciągu tego krótkiego panowania połączyć rządy Litwy i Polski w jednem ręku. Odtąd już jedność obydwóch narodów była na zawsze ustaloną tak dalece, że gdy po śmierci Alexandra Litwa obrała Zygmunta, czwartego z synów Kazimierza Jagiellończyka, swoim W. Xięciem, Polska miała o to urazę do Litwinów za to, że nie czekano wspólnego elekcyjnego sejmu, na którem Zygmunta królem polskim obwołano.

Rocznicę wyboru Zygmunta W. Xięciem Litewskim wspominamy tu, bo przypada ona d. 20. października.

W tym dniu r. 1506 nastąpił ów wybór, i możemy powiedzieć, że z dniem tym zaczął się złoty wiek dla Polski. Ponieważ jednak poczęcie złotego wieku uzupełnia się właściwie dopiero przez wybór Zygmunta królem Polskim, który nastąpił d. 8 Grudnia 1506 więc bliższe szczegóły o tym ważnym fakcie weźmiemy pod rozwagę w rocznicy grudniowej.

Podobnież przypada w Październiku na d. 18 miesiąca r. 1526 wybór dziesięcioletniego wówczas królewicza Zygmunta Augusta następcą tronu we W. X. Litewskiem, zaczem poszedł 18. grudnia tegoż roku wybór jego jako następcy tronu królewskiego w Polsce.

Dwa te miesiące mają więc w dziejach obu tych królów ważne znaczenie, a przezto i w dziejach narodu.

W następnych dziejach Polski napotykamy jeszcze nieraz na ważne dnie, przypadające w październiku, ale nie stanowi żaden z nich już tak szczęśliwej epoki, jak owe dnie wieku zygmuntowskiego.

D. 4. października r. 1573 wyruszył Henryk Walezy z Paryża, aby objąć tron polski, z czem zwlekał jak mógł najdłużej, czekając na spodziewaną śmierć brata swego Karola IX., która gdy nastąpiła wkrótce, opuścił ten niechętny wolnemu narodowi król rządy, krepujące jego samowolę aby objąć samowładne panowanie we Francyi.

Ucieczka Walezego miała w następstwie wybór jednego z najdzielniejszych królów: Stefana Batorego.

Z czasów tego króla mamy także do zapisania rocznicę sławnej bitwy pod Kiesią czyli Wenden, w której

Andrzej Sapieha małemi siłami zwyciężył znacznie przemagające wojska Moskali, zaszłej d. 21. października 1578. Zwycięztwo to utorowało niejako drogę Batoremu do innego zwycięztwa pod Połockiem, które w naszych czasach Jan Matejko mistrzowskim swoim pędzlem uwiecznił.

Po tej świetnej następują smutne rocznice na ten miesiąc.

W r. 1620 wypowiedział Osman, sułtan turecki Polsce wojnę, gotując się do niej, gdy się obawiał zdrady ze strony hospodara Wołoskiego, bo ten bardziej Polsce niż Turcyi sprzyjał; kazał go więc porwać i do Stambułu, jak mówi spółcześna relacya, „na więzienie przywieść".

Gracyan (Hospodar wołoski) uciekł się o pomoc do Hetmana Żółkiewskiego. Hetman otrzymawszy pozwolenie królewskie, chociaż (co niektórzy za złe wzięli) niezasięgnąwszy rady i pozwolenia sejmu, wyruszył z Hetmanem polnym, Stanisławem Koniecpolskim, starostą wieluńskim, w kilka tysięcy wojska, przybrawszy jeszcze innych: jakoto Strusa, Książęcia Koreckiego, Kalinowskiego, starostę kamienieckiego, na Wołoszczyznę przeciw Turkom. Spotkał ten zastęp niezbyt liczne wojsko Turków pod Skinderbaszą, ale posiłkowała ich wielka moc Tatarów. Wobec przemagającej siły uznał Żółkiewski za stosowne, cofnąć się w bojowym szyku, dając na tyłach świetny odpor następującemu nieprzyjacielowi. Aliści zakradła się już wtedy była niesforność i niewytrwałość do szeregów polskich, i znaczna część wojska opuściła wodzów swoich.

Wielki Hetman poległ pod Cecorą d. 7. października 1620 śmiercią bohaterską, a z nim wielu innych dzielnego rycerstwa. Ciało jego przywieziono do Baru bez głowy (Turcy ją odcieli), a poźniej do Żółkwi.

Po takiej klęsce ogarnął zą przykładem wojska popłoch cały kraj, a Tatarzy zapuszczali w tym i następującym roku zagony swoje bezkarnie aż pod Jaworów, Jarosław i Przemyśl.

Lecz nie poprzestali na tem Turcy. Sułtan wyruszył z ogromnem wojskiem (liczono do 600000) na Polskę.

Król zwołał sejm, i zamianowano w miejsce Żółkiewskiego Hetmanem wielkim Karola Chodkiewicza, Hetmanem polnym zaś Stanisława Lubomirskiego.

W tej nowej wyprawie uświetniony został miesiąc wrzesień tak dzielną obroną przeciwko nawale tureckiej i tatarskiej, że 25. uczyniono ze strony tureckiej propozycyą pokoju, a 29. wysłano posłów do obozu tureckiego dla zawarcia umow przedugodnych; 30. dziękował Hetman za dzlelną Rzptej obronę, a d. 8. października 1621 został pokój zawarty.

Nie obeszło się wszakże bez żałoby, bo wielkiemu Hetmanowi, Karolowi Chodkiewiczowi, nie dozwoliła Opatrzność doczekać świetnego końca tej wojny. Zmarł on jeszcze przed zawarciem pokoju d. 21. września w zamku Chocimskim.

Do rzędu rocznic historycznych tego miesiąca należy zapisać jednę z najboleśniejszych, rocznicę żałoby, która staje obok rocznicy bitwy pod Kiesią, zwiastującej zajęcie Połocka, jak Furya obok Gracyi, jak gieniusz śmierci, co następuje tuż za gieniuszem światła, życia i szczęścia — jestto rocznica bitwy pod Maciejowicami d. 16. października przypadająca.

Bitwa ta roztrzygnęła o losie ostatecznym Polski.

Kto winien? tak się pytają zwykle niedołężni, którzy nie czynili nic przedtem, aby taka bitwa o istnienie lub nieistnienie ojczyzny była niepotrzebną, i nic potem, aby zniweczyć skutki dawnej gnuśności.

Kto winien? Ci winni, co wiekami poprzód przygotowali takie zmarnowanie sił najdzielniejszych.

Bitwa ta była rozpaczliwą, była ona bitwą bohaterów. Obraz jej przechował nam jeden z jej uczestników, sam bohater, nietylko w dziedzinie walki zbrojnej za ojczyznę, ale w dziedzinie pióra — Julian Ursyn Niemcewicz.

Bitwa ta oczekuje jeszcze pędzla Matejki.

Garstka bohaterów chciała jeszcze piersiami swojemi zasłonić upadającą ojczyznę od zguby zgotowanej przez najezdników.

Widzimy z jednej strony Kościuszkę, unoszonego przez Moskali na marach, krwią zbroczonego, Niemcewicza rannego, któremu jednak ból nad nieszczęściami ojczyzny każe zapominać o bolach cielesnych, Kniaziewicza, Sierakowskiego generałów, a pod ich dowództwem dzielne pułki fizylierów Działyńskiego, jazdę Kopcia i Kamińskiego, gwardyą koronną, milicyą województwa brzeskiego litewskiego; wszystko nasza młodzież, a między nimi i wieku szronem pokryci. Każdy gotów położyć życie za ojczyznę. Z drugiej strony knutem prowadzone wojska dzikie, zwierzęce, pod dowództwem Fersena w przeważnej sile, które zabijają mniej dla nich ważne osoby, zabierają w niewolę ważniejsze, okładając je razami batów i pastwiąc się nad niemi wszelkiemi sposoby, a przecież nie mogą się pozbyć czci dla tych, którzy w upadku i nieszczęściu pozyskali aureolę wielkości. To najlepszym jest dowodem, że nie kłamliwie włożono w usta Kościuszki: Finis Poloniae, ale: Jeszcze nie zginęła — było hasłem nawet tej nieszczęsnej bitwy.

K. W.

Przechadzki po wystawie powszechnej w Wiedniu w r. 1873.

przez A. S.

V.

Skończyło się to „święto pokoju i pracy"; jakie będzie miało znaczenie dla przemysłu i umiejętności, czy wywrze istotny, czy też tylko chwilowy wpływ? trudno na razie orzekać — na dodatne określenie skutków wystawy trzeba poczekać jeszcze jaki rok. Dzisiaj chcąc wydać o niej zdanie, wstąpimy z kolei, w ostatniej naszej przechadzce po pałacu przemysłu, do halli maszyn i do halli sztuk pięknych.

Jak cała wystawa, tak i pałac jej główny imponował ogromem, ale brakło gustu; wobec zbytku ustąpił pożytek na drugi plan.

Olbrzymią rotundę, w którą kopuła św. Piotra zmieści się jakby pudełko do szafy, która jest półtora raza wyższa niż wieża kościoła P. Maryi w Krakowie — zastawiono jakby tandetą jaką mnóstwem najróżnorodniejszych przedmiotów, które nawzajem sobie przeszkadzały i zakrywały wzniosłe rozmiary budynku. Kiedyś po wypróżnieniu rotundy, po uwolnieniu jej od ciężkich, krępujących ją galeryj, będzie można dopiero bez przeszkody podziwiać to arcydzieło — któremu tylko innego dachu potrzeba; ten bowiem, co jest, pochyły a płaski, psuje całą lotność tej nadpowietrznej budowy.

W tak zwanym pałacu, czyli poprzecznych i podłużnych galeryach, urządzono setki tysięcy sklepów — lecz mimo tej liczby wybór przedmiotu dla interesowanego był prawie niepodobny, gdyż przedmioty jednego gatunku rozrzucone były na tysiącach miejsc. Ten fałszywy i nieudolny rozkład sprawił, że pałac, zamiast być plastyczną ilustracyą porównawczej statystyki — był tylko olbrzymim sklepowym bazarem bez żadnej innej wartości, jak reklama kupiecka, której miał pomagać należny dekoracyjny zbytek — były bowiem szafy wartości 10.000, które mieściły okazy nierównie mniej wartujące.

Na pytanie, co nowego przyniósł tutaj który kraj, niepodobna jeszcze dziś odpowiedzieć. Studyum takie wymagać będzie dużo pracy, która podczas wystawy fałszywym rozkładem utrudnioną była. Biorąc rzeczy ryczałtowo, na pierwszy rzut oka można tylko zauważyć, które okazy w którym kraju najwięcej uwagi zwracały — dodając atoli z góry, że nie ma żadnego rodzaju wyrobów, któryby w każdym kraju przynajmniej próbowanym nie był, a niektóre, jak n. p. porcelana i fajanse stały się już własnością powszechną, gdy do niedawna były jeszcze specyalnością pewnych tylko krajów.

Austrya odznaczała się wyrobami piankowemi i szkłem czeskiem, które do Brazylii otwarło sobie drogę odbytu. Rosya zdumiewała bogactwem płodów wszelkich klimatów, futrami, okazami jubilerskiemi; Francya rozbudzała podziw — wszystkiem, a zwłaszcza bronzami, gobelinami, galanteryami; tożsamo można powiedzieć o Anglii, prócz gustu, prócz dowcipu w przemyśle drobnym, ale jakież znakomite fortepiany angielskie! Niemcy narzucali się całej wystawie rozmiarami produkcyi, ale brak im wszelkiej oryginalności — prócz wody kolońskiej. Szwecya staje na równi z Anglią: żelazo, broń, przemysł domowy bogaty, płótno — wszystko znakomite. Szwajcarya okazała prima qualité zegarki, koronki, wyroby z drzewa: wschodnie kraje swoje owoce, jedwab, dywany i szale itd. itd.

Bezład pałacu przemysłu mógł był zostać naprawiony dobrem urządzeniem pawilonu dla handlu powszechnego — a ogólna wartość wystawy oddziałami domowego przemysłu oraz nauki i wychowania. W tej mierze zrobiła wystawa wiedeńska chwalebny początek, przełamała lody — działy te zwróciły też uwagę na siebie, i w tych kierunkach wpływ wystawy okaże się mocnym.

Najwięcej zajmującemi były halle maszyn i sztuki — obie stawiam obok siebie, bo obie okazują potęgę człowieka nad materyą — w obu zaprzęga duch ludzki martwe siły natury do swojego rydwanu.

Mechanika od czasu wystawy paryskiej w roku 1867 nie ma do wpisania żadnego nowego wielkiego wynalazku, niemniej jednak w każdym jej dziale wykazała wystawa ogromne i liczne ulepszenia. Tutaj godnie rewalizują z sobą Francya, Anglia, Ameryka, Niemcy i Szwecya — lubo i inne kraje, jak Węgry, wielkich już dokonują rzeczy. Widok, jak się robi czokoladę, mydło, lub jak się rznie i obrabia drzewo, jak się robi dywany i sukno itd., musiał być dla każdego widza wielce pouczającym. Sztuka rznięcia na szkle za pomocą piasku przez uderzenie, szrubsztak bez kręcenia, tylko z posuwaniem, sposoby zahaczania wagonów, ulepszone paleniska w lokomotywach, machiny parowe gazem palącym się poruszane, kilka udoskonalonych narzędzi rolniczych, pługi parowe dla gospodarstw mających milowe równiny — oto co specyaliści z halli maszyn głównie wymieniają.

Halla sztuki była labiryntem, mogącym przyprawić o zawrót głowy: style i pomysły kłóciły się z sobą przeszkadzając sobie nawzajem. Wogóle sztuka traci dzisiaj na wartości wewnętrznej, ideał staje się niebylicą, za to górą technika, mistrzostwo formy. Francya przeżuwa motywa klasyczne, zresztą kocha się w portretach; angielskie akwarele są ministernie wypracowane, ale brak

im. ducha werwy, czém celuje Kossak. — Niemcy jedni jeszcze niezerwali z tem, co się nazywa pomysłem, twórczością prawdziwą; tutaj Kaulbach i Piloty (Tusnelda w pochodzie tryumfalnym Germanica) stoją jeszcze u szczytu, ale po za nimi już tylko realizm, materya im brzydsza tem lepiej, byle zupełnie taka sama jak w naturze. Włochy w rzeźbie hołdują również smakowi giełdowemu, który lubuje się w wyrobieniu koronek, aksamitu itp. Nasz Brodzki, Sosnowski, Gadomski górują pomysłami, szlachetnością dzieł. Kopernik Gadomskiego jest arcydziełem, ktore powinno zdobić akademią nauk w Krakowie, albo gmach biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Powinni się znaleźć ludzie inicyatywy, żeby bodaj drogą subskrypcyi dzieło to zakupić i godnie umieścić; potrzeba nato 7000 zł. Przecież artysta nie dla siebie dwa lata nad tém dziełem pracował; gdyby był w taki sposób przedstawił Cavoura albo Bismarka, byłby już opływał w chwałę i pieniądze — my zwróćmy mu przynajmniej koszta za pracę i marmur. Towarzystwo sztuk pięknych lwowskie powołane jest do zajęcia się tą sprawą!

Wogóle pomysłu, ideału, ducha szukać dziś trzeba w sztuce polskiej. Matejko, Rodakowski itd. itd. — dosyć przytoczyć nazwiska.

Sprawa ta nasuwa pytanie, jak też na całej wystawie przedstawia się praca polska. Porozrywano ją na szmaty, a przecież daje się ona poznać i chlubnie nam świadczy. Kilka ulepszeń w mechanice — metoda p. Żaby w szkole portugalskiej, a zresztą przeglądając działy austryjacki, rosyjski, niemiecki, co kroku napotykamy okazy wyborowe pracy polskiej... a mogłoby ich być stokroć więcej. Najwięcej naszych okazów przedstawia dział rosyjski: nasze młyny i cukrownie żywią Rosyą i mogą rywalizować z całym światem; przemysł płócienny i sukienny dosyć wysoko jest rozwiniętym w Królestwie i na Podolu, wielkie bogactwa okazało Królestwo w produktach kopalnianych: węgiel, galman, cynk, marmury; wielce się też odznaczają okazy topografii, fotografii i drzeworytnictwa z Warszawy, a fortepiany tamtejsze mają już głośną sławę. Polska produkcya stanowi jeszcze dotąd w Rosyi główny nerw ruchu.

Z Galicyi odznaczyły się okazy bydła, futra Armatysa z Krakowa, sukna z Biały, okazy stolarskie ze Lwowa, znakomite mąki i piwa, szampany Hofa z Krakowa, produkta gorzelane, a wreszcie znakomity zbiór ubiorów ludowych hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego.

Najwięcej zgnębioną jest polska produkcya w Poznańskiem, zaledwo w wystawie niemieckiej odnaleźć można kilka firm polskich, okazujących cement, tekturę, atrament, farby, papierosy; wyrób wódek gdańskich jest w rękach niepolskich — zaledwo bydło z Poznańskiego polskich właścicieli zwracało uwagę.

Ten ryczałtowy przegląd ma na celu tylko okazanie, że nas na wystawie nie brakowało, że gdyby nie trudności, mielibyśmy się czém pochwalić. Zato żaden naród nie dostarczył tyle okazów samego siebie, to jest tylu gości na wystawę, co my, a co zatem idzie, nikt tyle pieniędzy do Wiednia nie wywiózł co Polacy — a czy za nie co przywieźli? Zaprawdę niewiele, a zresztą pozwolono się oszukiwać, zdzierać,....... tradycya pańskości pozostała nam dotąd w zupełności.

Kronika literacka i artystyczna.

(Sceny za sceną, i korzystny zwrot w stosunkach zarządu teatru lwowskiego. — Najnowszy repertoar. — Odczyty Towarzystwa pedagogicznego i koncerta. — Nowe książki.)

Lwów, 13 listopada 1873.

Od półtora roku istnieje najwyższy zarząd teatralny, który ani razu jeszcze nie sprawdził nawet faktu swego istnienia, nie uznał się za istniejący, pomimo że tak często powołują się na niego i przytaczają go publicznie. Stała się rzecz dziwna zaprawdę, że przez pótora roku komitet reprezentujący pewne Towarzystwo nie zasięgnął do tego ani razu upoważnienia ani wskazówek od strony, w imię której występuje i działa, pomimo zastrzegającego to wyraźnie statutu. Zdawało się jednak, że nienaturalny ten stosunek, napełniający obawą o los sceny każdego jej miłośnika, skończy się szczęśliwie, że komitet założycieli doświadczywszy kompletntej niefortunności w bezpośredniem przez siebie kierownictwie sceną i powierzywszy w czerwcu r. b. hr. Eugeniuszowi Cetnerowi dyrekcyą dramatu a hrabiemu Łosiowi opery, sam cofnie się za kulisy i da przez to pełnomocnikom owym swobodę zupelną, a jednak inaczej się stało. Komitet założycieli raz jeszcze zapragnął „zabawić się w teatr“, postanowił odebrać hr. Cetnerowi, pod którego dyrekcyą scena dźwigać się właśnie zaczęła, pełnomocnictwo, i spowodował tym celem zajście, które w najwyższym stopniu zgorszyło całą publiczność i pociągnąć mogło za sobą najzgubniejsze dla sztuki następstwa, gdyby nie szczęśliwa okoliczność, że za hr. Centnerem oprócz opinii publicznej i całego świata artystycznego stanęły także w całej powadze ustawy państwowe.

Dziś już chwała Bogu zajście to należy do przeszłości i sprawa wzięła najlepszy obrót, niebezpieczeństwo jednak było wielkie, a los sceny lwowskiej postawiony został przez komitet

na ostrzu miecza; dano już bowiem dymisyą wszystkim artystom bez wyjątku i sprowadzić chciano z Tarnopola trupę aktorów powincyonalnych na pierwszorzędną scenę lwowską! Ażeby tedy coś podobnego nie powtórzyło się w przyszłości, z gorszym może skutkiem niż tym razem, opinia, a mianowicie liczni miłośnicy sztuki ojczystej wywrzeć powinni największy nacisk na sferę, w ostatniej instancyi rozstrzygającą o losach teatru Skarbkowskiego, aby instytucyą tę wzięła w opiekę i niepewności w zarządzie jej artystycznym położyła koniec. Komitet założycieli zdaniem powszechnem stał się niepodobnym nadal, winien się więc cofnąć, składając pełnomocnictwo swe w ręce zwołanego Towarzystwa akcyonaryuszy, Towarzystwo to zaś bez wątpienia pozostawi dyrekcyą dramatu w rękach jednego kierownika, jednego dyrektora, jakim w ostatniem półroczu ku największeniu zadowoleniu publiczności zarówno jak artystów i krytyki był hr. Cetner. Tym tylko sposobem da się instytucyi trwałą podstawę i zabezpieczy jej naturalny rozwój, podczas gdy w przeciwnym razie będzie ona igraszką tylko w ręku niepowołanych, będzie widownią wiecznych zajść, wywoływanych ambicyą lub interesem osobistym. Miejmy jednak nadzieję, że to już ostatnie przesilenie, najcięższe, w stosunkach sceny naszej przebyliśmy.

Poświęciwszy wiele stosunkowo miejsca ogólnemu interesowi teatru naszego, tym razem już powstrzymamy się od zdania sprawy z stanu jego w ostatnich czasach. Konstatujemy tylko uznanie, jakie z powodu ostatnich reprezentacyi sztuk jak: „Dymitr samozwaniec“ i „Faust“ przypadło dyrekcyi w udziale ze strony publiczności i krytyki. Zapowiedziane są z większych utworów: „Diabeł wenecki“ M. Wołowskiego, tragedya „Edda“ z niemieckiego i dramat Szujskiego: „Zborowscy“, tudzież tragedya Szekspira „Juliusz Cezar“. Doniosły też dzienniki, że jeden z artystów wybrał sobie na przedstawienie benefisowe nowy dramat p. W. Ordona „Pojedynek“, o którym czytaliśmy pochlebne zdanie w sprawozdaniach teatralnych „Gazety lwowskiej.“

Zarząd oddziału lwowskiego Towarzystwa pedagogicznego zapowiada szereg dorocznych zimowych odczytów z dziedziny nauk przyrodniczych i humanitarnych. Odczyty te rozpoczną się dnia 24 b. m., poczem codziennie odbywać się będą aż do kwietnia roku przyszłego. Program i nazwiska prelegentów wkrótce podane będą do wiadomości publicznej.

Koncerta mnożą się w miarę, jak się zbliżamy ku zimie, niepodobna nam jednak zdawać z nich sprawy poszczególnie. Do publiczności jednak odzywamy się imieniem muzyki, czy godzi się tak zaniedbywać tę gałęź sztuki, że za każdym prawie razem sala koncertowa świeci pustkami?

Jako 11 tom „Biblioteki narodowej“ F. H. Richtera, a oraz w osobnem wydaniu księgarni Polskiej wyszła właśnie z druku tragedya B. Komorowskiego „Krok ostatni Arkony książe,“ której ustępy drukowała „Strzecha“ w bieżącym roczniku. Z nowowydanych książek wymieniamy studyum historyczne K. Kanteckiego, „Elżbieta, żona Jagiełłowa“, i „Szopkę“ Lenartowicza, wydaną jako 32 tomik biblioteki „Mrówki“ przez księgarnię Polską. „Schlossera dziejów powszechnych“ wyszedł zeszyt 24, z którym się kończy historya starożytna. Ostatnie to wydawnictwo, zawdzięczające swój rozwój jedynie udziałowi czytającej publiczności, polecamy ponownie czytelnikom naszym.

B. K.

Drezno, z końcem października.

(Nasze straty moralne. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły przez Kl. Kanteckiego. — Twardowski przez Alex, Grozę. — Wydawnictwa dzieł znakomitych pisarzy. — Restauracya grobów królewskich na Wawelu).

Jesteśmy wszyscy pod wrażeniem klęski — jaką grozi interesom narodowym upadek Tellusa w Poznańskiem. Do strat materyalnych łączą się stokroć boleśniejsze moralne, niepowetowane straty... zachwiana wiara, upadek kredytu, ruiny, z których będą korzystać nieprzyjaciele. To też wyrazić niepodobna, jakie wiadomość ta wywołała wrażenie, jakie oburzenie jest jej okutkiem. W Galicyi wybory prowadzone przez świętojurców i izraelitów, odkrywające i tu słabość i nieopatrzność naszę, na Poznańskie Tellus, nie licząc drobniejszych klęsk — to dosyć, aby głowę posypać popiołem. Wobec tych wypadków pióro wypada z rąk — cóż może zająć i pocieszyć? W królestwie wprawdzie dzieje się nieco lepiej, ale i tam te same żywioły dyssolwujące, które tak pięknie podziałały na społeczeństwo nasze gdzieindziej, już się czynnie objawiają. Zchodząc do przyczyn, które nas zdemoralizowały, podzieliły i osłabiły, znaleźlibyśmy je ze zdumieniem tam, gdzieby się ich najmniej można spodziewać... Lecz odwróćmy oczy od tego po stokroć nieszczęsnego widoku.

Dochodzi nas ze Lwowa piękna praca p. Klemensa Kanteckiego, rehabilitująca przeciwko Długoszowi i późniejszym historykom Elżbietę, trzecią żonę Jagiełły. P. Kantecki rozpatrując się w źródłach, potrafił z nich dobyć postać nową i postawić ją w miejsce lekkomyślnością, stronnością lub brakiem samoistnego sądu narzuconej dziejom naszym. Jest to bezsprzecznie wielką zasługą. Oceniając wysoko znakomite to studyum p. Kanteckiego, mielibyśmy ochotę z nim się posprzeczać o metodę samą w przedstawieniu przedmiotu. Nie jeden on jej używa, a nie zdaje się nam do popularnego i artystycznego utworu historycznego właściwą. Cały aparat historyczny, krytyczny — cały proces dobycia prawdy — nie obchodzi ogółu czytelników — jest on rzeczą not, przedmów i objaśnień. Tu zaś każdemu szczegółowi towarzyszą wykazy, jakiemi środkami został zdobyty. Ogół czytelników z tego pięknego obrazu nie odnosi wrażenia, jakieby na nim uczynił, gdyby opowiadanie wydzielone zostało i odrębny obraz stanowiło. Odpowie nam autor, że to było niepodobnem u nas, gdzie krytyka dotąd tak jeszcze mało była zastosowywaną do dziejów — talent autora ubolewać nam nad tem każe. Myśmy tę rzecz o Elżbiecie czytali z największem zajęciem, lecz dla wielu drogi, jakiemi p. Kantecki szedł do odkrycia prawdy, będą rzeczą obojętną — a same rezultaty toną wśród tych powikłanych wątków polemiki z bałamutnymi historykami pani Pileckiej. — Obrobienie krytyczne jest niezbędnym warunkiem, podstawą, ale ono stanowi rzecz od odpowiadania zupełnie oddzielną. Na obrazie pisać, że jedno miejsce ultramarynem malowane, drugie asfaltem albo cynobrem, byłoby popsuć efekt artystycznego utworu. Historya, aby była uczutą, zrozumianą, żywa,

musi i u nas przyjść do artystycznego wykończenia. Prof. Walewski w jednej z przedmów swoich dotknął bardzo trafnie tego przedmiotu. My go tu zaledwie musnąć możemy, a nie chcielibyśmy, aby fałszywe pojęcie wyrazów naszych ściągnęło na nas podejrzenie, że tak pożytecznej i cennej pracy jak wzmiankowana, cenić nie umiemy.

Między poprzedzającym a tym listem mieliśmy też czas zajrzeć do Twardowskiego A. Grozy, o którym już Strzecha pisała. Ze smutkiem przychodzi nam się zgodzić z sądem waszego recenzenta... Twardowski czeka na poetę! a że my dziś do poezyi usposobieni nie jesteśmy — poczeka więc długo zapewne. Między nim a Faustem jest niezmierne podobieństwo twarzy — mimo to w naszym Tytanie, co się piął do niebios po barkach szatana, jest i różnica niezmierna. Główna leży w tej idei, że diabeł wcale go nie zwyciężył, ale sam został wyprowadzonym w pole i wyzyskanym, że Zło jest tu wystawione przy całym swym dowcipie i matactwie jako głupota. Szatan ma spryt, dyplomata doskonały, szyderca zabawny, wielki faktor do małych rzeczy, ostatecznie jednak wychodzi z nosem na kwintę Mickiewicza potrzeba było, aby z niego coś istotnie narodowego, wielkiego uczynić potrafił, a Mickiewicz uczuwszy trudność zadania, zbył je żartobliwą balladą.

W oryginalnej ludowej legendzie o Fauście, na której tle nasza opracowaną została sprawą ducha narodowego — są wyraźne wzmianki o jego pobycie w Krakowie i o różnych sztukach, jakie tam wyprawiał. Legenda ta zresztą, w czem jednem ma słuszność Alex. Dumas w swej świeżej przedmowie do przekładu Fausta Goetego przez p. Baharah — legenda ta nie jest niemiecką wyłącznie, jest własnością całej ludzkości, każdy naród mógł jej nadać barwy swoje i zbogacić ją, nowe jej uwydatniając strony.

Wspomnieliśmy tu mimowoli Dumasa, którego wstęp do przekładu Fausta, pełen lekceważącej zarozumiałości, ogromne gniewy w Niemczech wywołał. Nazwano go za to gamin'em (Gassenbube) paryzkim... Tknąć Goethego tak bez ceremonii, jak to uczynił Dumas, nie umiejąc słowa po niemiecku, było w istocie — co najmniej wielce ryzykownem. — Dotąd i nasze literatura przekładem godnym poematu poszczycić się nie może. W zapowiedzianej przez Lewentala Bibliotece arcydzieł zapewne nowe tłumaczenie znajdziemy. Publikacya ta, na którą oczekujemy z niecierpliwością, dotąd jeszcze nie jest rozpoczętą; szerokie jej rozmiary i trudność stworzenia jakiegoś systematycznego planu, opóźnienie to usprawiedliwiają. — Na wzór pism Korzeniowskiego, wydanych przez Lewentala, i Fredry Gebethnera, Unger rozpoczyna zbiór powieści Zygmunta Kaczkowskiego, który w sprawie tego wydawnictwa odwiedził właśnie Warszawę. Nasze wydanie pism Kazim. Brodzińskiego zbliża się też do końca, a po niem, gdybyśmy przedsiębiorcę znaleźli, pragnęlibyśmy dać nowe, pełne i poprawne pism wszystkich Jana Pawła Woronicza. Choćby się przyszło poezyami samemi ograniczyć, koniecznie wykonać je potrzeba. Woronicz jako wieszcz narodowy stoi odrębnie, jako pisarz ma swą fizyonomią właściwą, której wysokie dostojeństwo kapłańskie charakteru dodaje... Niegodzi się, ażebyśmy zapomnieli o nim, gdy pamiętamy o innych... Dalej idąc, lepsze wydanie, do którego też mamy materyał w kilku rękopismach, Wacława Potockiego Wojny Chocimskiej, jest też niezbędnym, a jeszcze dalej sięgając, wszak i Kochanowscy i Reje i Klonowicze i Twardoscy nie mają takich wydań dzieł swoich, na jakieby zasługiwali. Wstyd powiedzieć, nikt o kompletnym Reju nie pomyślał nawet przez blisko lat trzysta. Krocie tysięcy talarów i guldenów poszły na niepoczciwą grę giełdową, a gdy przyszło dać kilkaset na cele święte i wielkie, obowiązkowe, składano się ubóstwem. Oburza się na to dusza, ale — cóż to pomoże! Stworzyć należy nowe pokolenie, któreby umiało pracować, milczeć, cierpieć, wierzyć a nie szaleć, u któregoby nic nie przechodziło w namiętność, a cnota stała na ołtarzu najwyżej, wyżej siły Bismarkowskiej i dukata ekonomistów.! Niestety! znajdziemyż dlań nauczycieli! gdzie są przykłady?... a prąd zachodu, a naśladownictwo małpie zagranicy, a nasza gębczasta bierność, która dziś pije fanatyzm a jutro niewiarę z równą łatwością... Na wychowaniu cała przyszłość nasza, a wychowanie to w czyich rękach i przez czyje filtruje się głowy, boleśnie myśleć.

Chcąc zapełnić list nowinami, nie mamy, widzicie, jak nader smutne i nie nowe; wolelibyśmy módz w ich miejsce położyć jaką archeologią... Gdyby nam było wolno zdradzić tajemnicę grobów, wspomnielibyśmy tu może o dopełniającej się w ciszy uroczystej restauracyi naszych królewskich grobowców i relikwij na Wawelu. Wiemy ze strony, iż się ona gorliwie prowadzi i zbliża do końca. Przyjdzie nareszcie może do tego, że Zygmuntowskie trumny, które jedna na drugiej spoczywały, rozstawione zostaną w krypcie tak, by się przy nich pomodlić można i zapłakać. Pisano i mówiono za wiele o Sukiennicach, a nie uczyniono nic; milczały groby, a w milczeniu tam się dokonywało, co było obowiązkiem... Znajdzie się może jeszcze jaki Jabłonowski, co wyprosi u rządu austryackiego pozwolenie oskrobania starożytnych fresków, które jeszcze w początkach XIX w. istniały, owej Koronacyi i Turnieju, o których wspomina Coxe. Freski te zabielone istnieć z pewnością muszą na salach zamkowych, i potrzebaby tylko inicyatywy czyjej, aby odsłonięte być mogły. Powstawały tak z martwych malowania z IX i X wieku, dla czegożby nasze, nie sięgające nad XIV lub XV, może późniejsze nawet, odczyszczone być nie mogły? Rząd austryacki nie miałby nic pewnie przeciwko temu, gdyby ktoś tylko chciał się tem zająć gorliwie i postarać o to...

Przyznaję się, że wolałbym je od Smoczej jamy, dla której także wyznaję respekt wielki. Dowiadujemy się także, iż wydawnictwa ś. p. hr. Przezdzieckiego, piąty tom Jagiellonek, Długosz i inna spuścizna po zacnym pracowniku wkrótce się ukażą. Są to zapewne ostatnie tego rodzaju ofiarne wydania, bo pokolenie, co się do nich czuło obowiązanem, wymiera...

Teraźniejsza generacya grać będzie na giełdzie, bawić się w legitymizmy i konserwatyzmy cudzoziemską fozą, ale na takie przedsiębiorstwa - - ruszy tylko ramionami, — dziś się one wydają śmiesznością!

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

[Pawie w swojej ojczyźnie]. Paw, ta najpiękniejsza ozdoba naszego ptactwa domowego, pochodzi, jak wiadomo z Indyi i wyspy Ceylonu, i istnieje tam w rozmaitych przepysznych odmianach, z których wymieniamy tylko pawia białego i czarnego (pavo nigripennis), i tak zwanego pawia olbrzymiego (pavo muticus). Paw w stanie dzikim zamieszkuje całe Indye wschodnie, wyspę Ceylon, Assam, wyspy Sunda, a mianowicie Jawę, i lubi przebywać w odwiecznych lasach i gęstwinach bagnistych, przedewszystkiem zaś w lasach górskich, otoczonych otwartą równiną lub poprzerzynanych jarami. W Neilgherry i w południowych Indyach, jakoteż na wyspie Ceylonie, przebywa dziki paw najmilej w okolicach górskich, w których napotkać go można aż do wysokości 6000 stóp nad powierzchnią morza, nie ma go jednak wcale na Himalai. W innych zaś miejscach woli przesiadywać po lasach podszytych gęstwiną i na rozległych łąkach, gdzie nie zbywa na wodzie i pojedyńczych drzewach, na których mógłby siadać. W wielu okolicach Indyi jest on uważany za świętego i nietykalnego ptaka, którego zabicie ściąga na Europejczyka nienawiść krajowców, a niekiedy nawet i wielkie niebezpieczeństwa. Dlatego też mogą tam pawie przechadzać się swobodnie po plantacyach i szukać pożywienia, a w pobliżu świątyni indyjskich można napotkać bardzo często wielkie stada dzikich pawiów, które karmione bywają przez kapłanów i tak są ułaskawione, jak po naszych kurnikach. Takie stada dzikich pawiów przedstawiają nie do opisania piękny widok, i kto widział pawia w jego ojczyźnie indyjskiej, zapewnia, że dopiero tam można powziąć właściwe wyobrażenie o piękności tego ptaka. Mahometani indyjscy nie oszczędzają jednak pawia tak, jak łagodni Indyanie, lecz polują na niego namiętnie, raz dla nader miłego widoku, jaki przedstawia ten duży, dumny ptak, gdy lecąc ciągnie za sobą swój długi, połyskujący ogon jak kometa, lub gdy siedząc na gałęzi spuści na dół swój przepyszny ogon, a powtóre dlą tego, że pawie mięso jest równie doskonałe i smaczne jak indycze. Przebywający w Indyach Anglicy znajdują także wielką przyjemność w polowaniu na pawie z nagónką, mianowicie na łąkach i w zaroślach. W takim razie wyrusza przy pomyślnym wietrze długi łańcuch poganiaczy i strzelców z kilku psami i wypłasza pawie, które nierównie mniej obawiają się ludzi, niż psów, i zawsze wprzód znaczny kawał biegną, a dopiero potem podlatują z wielkim szelestem. Strzelec musi dobrze strzelać i mierzyć dość wysoko, by nie przestrzelić ogona a zabić ptaka, bo gdy jest tylko postrzelony, umknie łatwo ścigającemu myśliwcowi. Pomimo swej wielkości lata ten ptak dość lekko i szybko, i jest bardzo wytrwały. Polowanie odbywa się najwięcej w październiku i poźniej, bo kogut pierzy się w marcu i traci potem swój ogon, który dopiero we wrześniu odrasta w zupełności.

[Marszałek z linoskoczka]. Dziennik „Industriel Alsacien“ otrzymał od swego korespondenta sztrasburskiego następującą ciekawą charakterystykę Bazaina: Przed kilku dniami, gdy dwóch przyjaciół moich pełniło służbę jako członkowie bióra dobroczynności, zgłosiła się do nich słuszna, porządnie ubrana kobieta i prosiła o wsparcie. Oświadczyła, że nazywa się Regnier, i opowiedziała następującą historyą, stwierdzając ją papierami familijnemi, które zdawały się być wiarogodne. Jej ojciec i rodzeństwo są rodem z Saargemünd. Ojciec umarł w szpitalu sztrasburgskim, a z całej familii pozostała tylko ona i jej brat, który dziś jest marszałkiem Francyi i nazywa się — Bazain. Ten brat, — mówiła dalej — był od dzieciństwa ladaco, uciekał co chwila z domu ojcowskiego, a w 14 roku wstąpił do niemieckiej trupy linoskoczków, gdzie — jak się zdaje — srogo się z nim obchodzono. Pewien kapłan ulitował się nad chłopcem i przekonawszy się, że jest bardzo roztropnym, wychowywał go do lat 18. Ale żądza próżniactwa i włóczęgi opanowała znowu młodego Regniera (jestto jego imię familijne); połączył się napowrót z kuglarzami i linoskoczkami, a w końcu zmierziwszy sobie to niestałe i mozolne życie, wstąpił z dezerterami niemieckimi do legii cudzoziemskiej. Tu odznaczył się swoją inteligencyą i odwagą, w krótkim czasie został sierzantem, a ponieważ zmiarkował, że nie mógłby dalej awansować, gdyż uważano go za Niemca, oświadczył, że nazywa się Regnier i pochodzi z Saargemünde. Z zasiągniętych wiadomości okazało się, że mówił prawdę; wciągnięto go pod imieniem Regniera, zwanego Bazaine, do rejestrów, i dzięki niezaprzeczonej waleczności wznosił on się szybko ze stopnia na stopień i był ciągle na polu bitwy. Reszta wiadoma już. W ciągu swej awanturniczej młodości przybierał on rozmaite nazwiska. Jako kuglarz w Niemczech nosił nazwisko Baz, które poźniej zamienił na Bazaine. Odkąd został marszałkiem Francyi, pisywała jego siostra, licząca teraz 63 lat, kilkakrotnie do niego, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

[Loterya małżeńska]. Pewien dowcipny spekulant urządził w Berlinie — jak donoszą dzienniki tamtejsze — następującą loteryą: Każda dama (rozumie się wolnego stanu) pragnąca wyjść za mąż, stawia się na loteryą, ale z tem zastrzeżeniem, że wolno jej odrzucić kandydata, którego los uszczęśliwi wygraniem jej ręki, jeźliby nie przypadał jej do gustu. Taki odprawiony kandydat otrzymuje tylko jako wynagrodzenie za niemiły zawód pewną sumę, potrąconą z góry od kapitała wkładkowego, a piękna wygrana może nanowo stawiać się na loteryą tak długo, dopokąd się nie wyda. Tak naprzykład, gdy jaka piękność chce wygrywającemu z ręką swoją wnieść 10000 talarów w posagu, wypuszcza przedsiębiorca 1000 losów po 10 talarów. Jeśli tedy kandydat wygrywający ten posag i przywiązaną do niego piękność zostanie odprawiony, natenczas wypłaca mu bióro loteryjne 1000 do 2000 talarów, i kwituje go tym sposobem z wszelkich pretensyj. Zdarza się niekiedy, że nieszczęśliwy kandydat może jeszcze podziękować losowi za taką odprawę, biorąc piękne pieniądze zamiast brzydkiej żony; ale przytem wszystkiem zdarzają się podobne wypadki bardzo rzadko, gdyż jak zapewnia sam przedsiębiorca loteryi, odbyło się z początkiem października już 45te losowanie, a tylko czterech kandydatów otrzymało odprawę, chociaż byli pomiędzy wygrywającymi i kawalerowie marcowi i starce, dźwigający już 6 krzyżów na swoich barkach.

Humoreska.



Mężu, co Tobie — czemu uciekasz!
Nic — kichnąłem. Chodź, chodź, prędko!
Ale czemu tak uciekasz?
Zgubiłem coś, czego szukać nie chcę.
Cóż takiego?
Zęby.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.